

Gallegher Bis

Henry Kuttner

Gallegher wytrzeszczył zamglone oczy i spojrzał tam, gdzie powinno być jego podwórko. Widział z okna absurdalną, nieprawdopodobną dziurę, która ziała tam w ziemi, i brały go mdłości. Dziura była wielka. I głęboka. Prawie wystarczająco głęboka, by pomieścić dość gigantycznego kaca Galleghera. Gallegher zastanowił się, czy powinien spojrzeć na kalendarz, potem jednak zdecydował, że lepiej nie. Miał uczucie, że od początku ochlaju minęło kilka tysięcy lat. Nawet jak na faceta z jego pragnieniem i możliwościami, wytrąbił sporo.

- Wytrąbiłem - skarżył się Gallegher wlokąc się w stronę kanapy, na którą się zwałił. - Wolę mówić "wychlałem", to ma więcej ekspresji. Słowo "wytrąbiłem" przywodzi mi na myśl orkiestrę dętą i klaksony samochodowe, które i tak mam we łbie, do tego wszystkie włączone na pełną moc. - Omdlałą ręką sięgnął do zaworu dystrybutora trunków, zawahał się i porozumiał ze swym żołądkiem.

GALLEGHER: - Można malucha?

ŻOŁĄDEK: - Ostrożnie!

GALLEGHER: - Naparsteczek...

ŻOŁĄDEK: - Oooch!

GALLEGHER: - Nie rób mi tego! Muszę się napić. Podwórko mi ukradli.

ŻOŁĄDEK: - Szkoda, że mnie nie ukradli.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich robot, którego kółka, tryby i inne wichajstry szybko wirowały pod przezroczystą obudową. Gallegher spojrzał i zamknął oczy, zlany potem.

- Wynoś się - warknął. - Przeklinam dzień, w którym cię zrobiłem. Twoje wirujące kieszki doprowadzają mnie do szału.

- Nie ma pan za nic poczucia estetyki - odrzekł robot urażonym tonem. - Proszę. Przyniosłem panu piwa.

- Hmmm. - Gallegher wziął z ręki robota plastikowy pojemnik i zaczął łapczywie pić. Chłodny

miętowy posmak mile, odświeżająco łechtał podniebienie. - Aaach - westchnął siadając. - Trochę lepiej. Niewiele, ale...

- Może zastrzyk z tiaminy?

- Już dostałem od tego uczulenia - rzekł Gallegher posępnie do robota. - Dotknęła mnie zhora pragnienia. Hmmm! - Popatrzył na dystrybutor. - Może...

- Jakiś policjant do pana.

- Jakieś co?

- Policjant. Czeka już dość długo.

- Och - powiedział Gallegher. Spojrzał w kąt obok otwartego okna. - Co to jest?

Wyglądało to na jakąś dziwną maszynę. Gallegher przyglądał się jej z zainteresowaniem połączonym ze zdziwieniem i pewnym oszołomieniem. Nie było wątpliwości - sam zbudował to cholerne pudło. Zwariowany konstruktor Gallegher tak właśnie pracował. Nie miał żadnego wykształcenia technicznego, ale niezwykłym trafem jego podświadomość została obdarzona błyskiem geniuszu. Na trzeźwo Gallegher był zupełnie normalny, choć narwany i często na cyku. Jednak kiedy jego demoniczna podświadomość przejmowała nad nim kontrolę, wszystko mogło się zdarzyć. Właśnie po pijanemu zbudował tego robota, po czym spędził wiele tygodni próbując ustalić, do czego miał on służyć. Jak się okazało, zastosowanie nie było specjalnie użyteczne, ale Gallegher zatrzymał robota w domu, pomimo że ten miał irytujący zwyczaj: wyszukiwał wszystkie możliwe lustra i przeglądał się w nich z próżnością, podziwiając swe metalowe wnętrze.

Znowu mi się przydarzyło, pomyślał Gallegher. Na głos zaś powiedział: - Jeszcze piwa. Szybko.

Gdy robot wyszedł, Gallegher pobierał swe chude ciało i podszedł do maszyny przyglądając się jej z zaciekawieniem. Maszyna nie była włączona. Przez otwarte okno wychodziły jakieś jasne, giętkie przewody grubości palca; wisiały niewysoko nad krawędzią jamy znajdującej się tam, gdzie powinno być jego podwórko.

Zakończone były... Hmmm! Gallegher wciągnął jeden przewód i przyjrzał się mu. Zakończone były okutymi metalem otworami i były puste wewnątrz. Dziwne.

Maszyna miała około dwóch metrów długości, a wyglądała jak ożywiona składnica złomu. Gallegher miał skłonność do improwizacji. Jeśli do połączenia nie mógł znaleźć odpowiedniego przewodu, łapał co było pod ręką, czasem haftkę, a czasem

wieszak do ubrań, i włączał w urządzenie. Oznaczało to, że analiza jakościowa wykonanej już maszyny wcale nie była łatwa. Co na przykład oznaczała ta nylonowa kaczka owinięta drutami i z zadowoleniem spoczywająca na starej formie do wafli?

- Tym razem dostałem hopla - rozważał Gallegher. - Mimo wszystko jednak w nic nie wdepnąłem, jak zazwyczaj. Gdzie to piwo?

Robot tkwił przed lustrem i wlepił oczarowane spojrzenie we własne wnętrze. - Piwo? A, tu mam. Zatrzymałem się na chwilę, aby rzucić na siebie pełne podziwu spojrzenie.

Gallegher obdarzył robota mocnym słowem, ale wziął pojemnik. Wpatrywał się mrugając oczami w stojące pod oknem urządzenie, a jego długa twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi wykrzywiła się w grymasie zdumienia. Produkt końcowy...

Z wielkiej komory - ongiś kubła na śmieci, wychodziły cienkie rurki. Kubeł był teraz szczelnie zamknięty; tylko esowaty przewód łączył go z małą prądnicą, czy czymś takim. Nie, pomyślał Gallegher. Prądnice są chyba duże? Och, jaka szkoda, że nie mam wykształcenia technicznego. Jak to rozszyfrować?

Było tam dużo, dużo więcej rzeczy, jak na przykład szara, kwadratowa kasetka z metalu; Gallegher na chwilę zbity z tropu próbował obliczyć jej pojemność w metrach sześciennych. Wyszło mu sto, co oczywiście było błędem, każdy bowiem bok kasetki miał dziesięć centymetrów.

Wieczko kasetki było zamknięte; Gallegher na chwilę odłożył ten problem i zajął się dalszymi bezowocnymi badaniami. Znalazł więcej zagadkowych urządzeń. Na ostatku zauważył krążek o średnicy dziesięciu centymetrów z rowkiem na obwodzie.

- I jaki jest produkt końcowy? Hej, Narcyz!

- Nie nazywam się Narcyz - odrzekł robot karcącym tonem.

- Głowa boli od samego patrzenia na ciebie, a ty mi każesz jeszcze pamiętać twoje imię - warknął Gallegher. - Zresztą maszyny nie powinny mieć imion. Chodź no tutaj.

- Słucham?

- Co to jest?

- Maszyna - odpowiedział robot - ale ani trochę tak piękna jak ja.

- Mam nadzieję, że jest bardziej użyteczna. Co ona robi?

- Połyka ziemię.

- Aha. Stąd ta dziura w podwórku.

- Podwórka nie ma - zwrócił uwagę robot zgodnie z prawdą.

- Jest.

- Podwórko - rzekł robot, cokolwiek niedokładnie cytując Thomasa Wolfe'a - jest nie tylko

podwórkiem, ale również negacją podwórka. Jest to spotkanie w przestrzeni podwórka i braku podwórka. Podwórko to skończona i nierozprzestrzeniona ilość brudnej ziemi, to fakt zdeterminowany swym zaprzeczeniem.

- Czy ty wiesz, co ty mówisz? - zapytał Gallegher, mając szczerą ochotę także się dowiedzieć.

- Tak.

- Rozumiem. No więc przestań gadać o brudach. Chcę wiedzieć, po co zbudowałem tę maszynę.

- Niepotrzebnie pan mnie pyta. Wyłączył mnie pan ma wiele dni, a właściwie tygodni.

- Aha. Pamiętam. Sterczałeś wtedy przed lustrem i nie dałeś mi się ogolić.

- To była sprawa integralności artystycznej. Płaszczyzny mojej funkcjonalnej twarzy są daleko bardziej koherentne i ekspresyjne niż pańskie.

- Słuchaj no, Narcyzie - rzekł Gallegher, z wysiłkiem starając się zapanować nad sobą. - Próbuję dowiedzieć się czegoś. Czy płaszczyzny twojego parszywego funkcjonalnego mózgu potrafią to pojąć?

- Oczywiście - zimno odrzekł Narcyz. - Nie mogę panu pomóc. Włączył mnie pan dopiero dziś rano, a potem zasnął pan pijackim snem. Maszyna była już skończona, ale nie włączona. Posprzątałem dom i uprzejmie przyniosłem panu piwo, gdy

obudził się pan na swoim zwykłym kacu.

- To przynieś mi uprzejmie jeszcze trochę i zamknij się.

- A co z policjantem?

- Och, zapomniałem. Hm... Chyba lepiej zobaczę się z tym facetem. Narcyz wyszedł cicho stawiając stopy. Gallegher zatrząsał się, podszedł do okna i wyjrzał przez nie na tę niesamowitą dziurę. Dlaczego? Jak? Przetrząsał zakamarki umysłu. Bez skutku oczywiście. Jego podświadomość знаła odpowiedź, ale uwięziła ją skutecznie. W każdym razie nie zbudowałby tej maszyny bez jakiegoś ważnego powodu. Czy zresztą rzeczywiście nie? Jego podświadomość cechowała logika dość szczególna i powikłana. Narcyz wszak miał być super otwieraczem butelek piwa.

Do pokoju wszedł za robotem muskularny młody człowiek w dobrze skrojonym mundurze. - Pan Gallegher? - zapytał.

- Tak.

- Pan Galloway Gallegher?

- Odpowiedź ciągle jeszcze brzmi "tak". Czym mogę służyć?

- Może pan przyjąć to wezwanie sądowe - odrzekł gliniarz. Wręczył Gallegherowi złożony świstek papieru.

Labirynt kunsztownej frazeologii prawniczej niewiele mówił Gallegherowi. - Kto to jest Deli Hopper? - zapytał. - Nigdy o nim nie słyszałem.

- To nie moja sprawa - mruknęła władza. - Wezwanie dostarczyłem i tu się moja rola kończy.

Policjant wyszedł. Gallegher wytrzeszczył oczy na papier. Niewiele się z niego dowiedział.

W końcu z braku lepszego zajęcia pogadał przez wideofon z adwokatem, połączył się z kartoteką prawników i dowiedział się, że radcą prawnym Hoppera jest niejaki Trench, szychy w Radzie Legislacyjnej. Trench miał sztab sekretarek do odbierania telefonów, ale metodą gróźb, wymysłów i próśb Gallegher dostał w końcu połączenie z samym szefem.

Na ekranie Trench objawił się jako siwy, chudy, zasuszony człowieczek z przystrzyżonym wąsikiem. Głos miał ostry jak brzytwa.

- Pan Gallegher? O co chodzi?

- Słuchaj pan - powiedział Gallegher - właśnie doręczono mi wezwanie.

- Ach, więc już je pan ma? Dobrze.

- Co to znaczy dobrze? Nie mam zielonego pojęcia, co jest grane.

- Popatrz, popatrz - rzekł sceptycznie Trench. - Może mógłbym odświeżyć pańską pamięć. Mój klient, który ma miękkie serce, nie skarży pana o oszczerstwo, groźbę użycia siły, czy też napaść i pobicie. Chce po prostu odzyskać swoje pieniądze albo dostać, co mu się należy.

Gallegher zamknął oczy i zadygotał. - On chce? Ja... hm... czy ja mu ubliżyłem?

- Nazwał go pan - powiedział Trench zaglądając do grubego skoroszytu - karaluchem na kaczych nogach, śmierdzącym Neandertalczykiem i albo brudną krową, albo brudną crowsą. Oba te określenia zaliczane są do obelżywych. Poza tym kopnął go pan.

- Kiedy to było? - wyszeptał Gallegher.

- Trzy dni temu.

- I... wspominał pan coś o pieniądzach?

- Tysiąc kredytek zaliczki, które panu wypłacił.

- Na poczet czego?

- Na poczet zamówienia, które miał pan wykonać. Nie zostałem dokładnie poinformowany o

szczegółach. W każdym razie nie tylko nie wykonał pan zamówienia, ale także odmówił pan zwrotu pieniędzy.

- Ojej. A kto to w ogóle jest Hopper?

- Właściciel Hopper Enterprises. Deli Hopper, impresario i agent rozrywkowy. Ale sądzę, że pan to wszystko wie. Zobaczymy się w sądzie, panie Gallegher. Zechce mi pan teraz wybaczyć, jestem zajęty. Oskarżam dziś w pewnej sprawie i myślę, że podsądny dostanie duży wyrok.

- A co on zrobił? - zapytał Gallegher słabym głosem.

- Zwykła sprawa o napaść i pobicie - odpowiedział Trench. - Do widzenia.

Gdy twarz prawnika znikła z ekranu, Gallegher schwycił się za głowę i rykiem zażądał piwa. Podszedł do biurka sącząc piwo z plastikowego pojemnika z wbudowanym schładzaczem i uważnie przejrzał korespondencję. Nie było nic. Żadnej wskazówki.

Tysiąc kredytek... nie przypominał sobie, żeby je dostał. Ale może w książce przychodów coś będzie...

Było. Pod różnymi datami sprzed paru tygodni zapisano:

Otrz. D. H. - zam. - zal. - 1000 k.

Otrz. J. W. - zam. - zal. - 1500 k.

Otrz. Grubasek - zam. - zal. - 800 k.

Trzy tysiące trzysta kredytek! A na koncie ani śladu tej sumy. Był tam tylko dowód wypłaty siedmuset kredytek, po czym na koncie pozostało jeszcze coś koło piętnastu. Gallegher jęknął i jeszcze raz przeszukał biurko. Pod suszką znalazł kopertę, którą poprzednio przeoczył.

Koperta zawierała akcje, zarówno zwykłe, jak i uprzywilejowane, jakiejś firmy zwanej "Wszystkie Zadania". Pismo przewodnie potwierdzało przyjęcie sumy czterech tysięcy kredytek, za którą to wpłatę wydano panu Gallowayowi Gallegherowi akcje, zgodnie z zamówieniem...

- Cholera jasna - powiedział Gallegher. Łykał piwo, a w głowie miał karuzelę. Kłopoty waliły się z trzech stron. D. H., Deli Hopper zapłacił mu tysiąc kredytek, żeby coś tam zrobił. Ktoś o inicjałach J. W. zapłacił mu półtora tysiąca za podobną rzecz. A sknera Grubasek dał mu tylko osiemset zaliczki. Dlaczego?

Tylko szalona podświadomość Galleghera знаła odpowiedź na to pytanie. Owa osobowość skryta w jego mózgu sprytnie zaaranżowała umowy, zebrała forszę, spustoszyła osobisty rachunek bankowy Galleghera praktycznie go likwidując i kupiła akcje firmy "Wszystkie Zadania". Ha!

Gallegher ponownie siadł przed wideofonem. Po chwili połączył się ze swym maklerem.

- Arnie?

- Cześć, Gallegher - powiedział Arnie patrząc w kamerę ponad biurkiem. - Co jest?

- Ja jestem. Uwiązany na sznurze. Słuchaj, czy ostatnio kupowałem jakieś akcje?

- Jasne. "Wszystkie Zadania".

- No to chcę je sprzedać. Potrzeba mi forsy. Szybko.

- Zaczekaj chwilę. - Arnie nacisnął parę guziczków. Gallegher wiedział, że na bocznej ścianie pojawiły się aktualne notowania.

- No i co?

- Nie da rady. Lecą jak w studnię bez dna. Podaż za cztery, nikt nie oferuje żadnej ceny kupna.

- A ja za ile kupiłem?

- Za dwadzieścia.

Gallegher ryknął jak zraniony wilk. - Dwadzieścia?! I ty mi na to pozwoliłeś?

- Próbowałem ci to wyperswadować - rzekł Arnie znużonym głosem. - Mówiłem, że akcje lecą w dół. Jest jakieś opóźnienie w kontrakcie budowlanym, nie wiem dokładnie, jakie. Ale ty powiedziałaś, że masz cynk. Co mogłem zrobić?

- Mogłeś walić mnie w łeb, póki by mi nie przeszło - powiedział Gallegher. - No, nieważne. I tak już za późno. Czy mam jakieś inne akcje?

- Sto akcji "Bonanzy Marsjańskiej".

- Ile dają?

- Może za wszystko dostałbyś dwadzieścia pięć kredytek.

- Cóż to za dźwięk trąb? - mruknął Gallegher.

- He?

- Boję się tego widoku...

- A, już wiem - rzekł Arnie, zadowolony z siebie. - "Danny Deever".

- Aha - zgodził się Gallegher. - "Danny Deever". Zaśpiewaj mi to na moim pogrzebie, stary. - Wyłączył się.

Dlaczego, po jaką cholerę, kupił te akcje?

Co takiego obiecał Dellowi Hopperowi z firmy Hopper Enterprises?

Kim byli J. W. (tysiąc pięćset kredytek) i Grubasek (osiemset kredytek)?

Dlaczego w miejscu podwórka ziała dziura?

Co to była za maszyna, którą zbudowała jego podświadomość, i na co?

Nacisnął guzik informacji na wideofonie i- tak długo kręcił tarczą, aż znalazł numer Hopper Enterprises. Wybrał go.

- Chcę mówić z panem Hopperem.

- Pańskie nazwisko?

- Gallegher.

- Proszę zwrócić się do naszego radcy prawnego, pana Trencha.

- Już to zrobiłem - powiedział Gallegher. - Proszę posłuchać...

- Pan Hopper jest zajęty.

- Niech mu pani powie - rzucił pośpiesznie Gallegher - że mam to, czego chciał.

To poskutkowało. Na ekranie pojawił się Hopper, istny bawół z grzywą siwych włosów, aroganckimi, czarnymi jak węgiel oczami i nosem zakrzywionym jak ptasi dziób. Wydatnym podbródkiem wycelował w ekran i ryknął:

- Gallegher? Mało brakowało, a... - zmienił nagle ton. - Rozmawiałeś z Trenchem, co? Wiedziałem, że to pomoże. Wiesz, że mogę cię wsadzić?

- No, może...

- Żadne może! Czy myślisz, że chodzę osobiście do wszystkich kopniętych wynalazców, którzy dla mnie coś robią? Gdyby mi nie kładli ciągle w łeb, że jesteś najlepszy w te klocki, dawno byś dostał nakaz sądowy!

Wynalazca?

- Chodzi o to - zaczął łagodnie Gallegher - że byłem chory...

- Gówno prawda - warknął Hopper. - Byłeś pijany jak świnia. Nikomu nie płacę za chłanie. Może zapomniałeś, że ten tysiąc to tylko pierwsza rata - po której będzie jeszcze dziewięć tysięcy?

- No... no nie. Hm... dziewięć tysięcy?

- I premia za szybkie wykonanie zadania. Szczęściem premię jeszcze możesz dostać. Minęły

dopiero dwa tygodnie. Ale masz fart, że to już gotowe. Mam już nagrane parę fabryk. A moi ludzie szukają po całym kraju dobrych sal widowiskowych. Czy to się nada do małych aparatów, Gallegher? Stąd będzie stały przychód, a nie z dużych widowni.

- Hrrrrmmfff - za.krztusił się Gallegher. - No...

- Masz to u siebie? Już jadę zobaczyć.

- Niech pan poczeka! Chciałbym coś jeszcze uzupełnić...

- Potrzebny mi tylko pomysł - powiedział Hopper. - Jeśli pomysł jest dobry, cała reszta to pestka. Zadzwońię do Trenchy i każę mu wycofać to wezwanie. Zaraz będę.

Wyłączył się.

Gallegher rykiem zażądał piwa. - I brzytwę - dodał, gdy Narcyz wychodził z pokoju. - Chcę sobie poderżnąć gardło.

- Dlaczego? - zapytał robot.

- Żebyś miał rozrywkę, a co myślałeś? Dawaj to piwo. Narcyz przyniósł pojemnik.

- Nie rozumiem, czym się pan tak martwi - zauważył. - Czy nie lepiej zatracić się w entuzjastycznym podziwieniu dla mojej urody?

- Brzytwa lepsza - rzekł ponuro Gallegher. - Dużo lepsza. Mam trzech klientów, z których dwóch nie pamiętam w ogóle, a wszyscy zamówili u mnie coś, czego również nie pamiętam. Ha!

Narcyz zastanowił się. - Niech pan spróbuje rozumowania indukcyjnego - zaproponował. - Ta maszyna...

- Co z tą maszyną?

- No więc kiedy otrzymuje pan zamówienie, zwykle upija się pan do takiego stanu, w którym pańska podświadomość bierze górę i sama robi, co trzeba. Potem pan trzeźwieje. Najwidoczniej tym razem też tak się stało. Zrobił pan przecież maszynę, nie?

- No jasne - odrzekł Gallegher - ale dla kogo? Nawet nie wiem, co ona robi.

- Mógłby pan ją włączyć i sprawdzić.

- Rzeczywiście. Zgłupiałem od rana.

- Zawsze jest pan głupi - powiedział Narcyz. - A także brzydki. Im bardziej przyglądam się mej własnej doskonałej urodzie, tym więcej litości czuję dla ludzi.

- A, zatkaj się - warknął Gallegher wyczuwając bezsens kłótni z robotem. Podeszedł do

tajemniczej maszyny i jeszcze raz przyjrzał się jej. Nic mu nie zadzwoniło.

Maszyna miała przełącznik, który Gallagher przesunął. Rozległa się piosenka o szpitalu świętego Jakuba.

...widziałem mą najdroższą na marmurowej płycie...

- Już wiem wszystko - powiedział Gallagher w gwałtownym przyływie frustracji. - Ktoś zamówił u mnie gramofon.

- Chwileczkę - Narcyz wyciągnął rękę. - Niech pan wyjrzy przez okno.

- Okno. Oczywiście. I co z tego? Co... - Gallagher wychylił się przez parapet, oniemiały ze zdumienia. Poczł, jak kolana mu słabną i rozstępują się. No, czegoś takiego nie mógł się spodziewać.

Zespół rurek wychodzących z maszyny okazał się niewiarygodnie rozciągliwy. Rurki wysunęły się aż do dna jamy, na całe dziesięć metrów, i poruszały się bezładnie naokoło niczym odkurzacze na pastwisku. Poruszały się tak szybko, że Gallagher

widział tylko ich zamglone kontury. Wyglądało to, jakby głowa Meduzy ogarnięta tańcem św. Wita zaraziła swoje węże tą dolegliwością.

- Niech pan spojrz, jak śmigają - powiedział Narcyz w zamyśleniu, całym ciężarem opierając się o Gallaghera. - Chyba stąd ta dziura. One pożerają ziemię.

- Owszem - zgodził się konstruktor, odsuwając się od robota. - Ciekawe, po co. Ziemia... hmmm. Surowiec. - Popatrzył na maszynę, która zawodziła:

...czy jest gdzieś na tym świecie kochanek taki drugi...

- Połączenie elektryczne - zadumał się Gallagher, przyglądając się maszynie badawczo. - Pobrana ziemia trafia do dawnego kosza na śmieci. I co potem? Bombardowanie elektronami? Protony, neutrony, pozytrony... szkoda, że nie wiem, co te słowa znaczą - zakończył żałośnie. - Szkoda, że nie mam studiów.

- Pozytron to jest...

- Nic mi nie mów - poprosił Gallagher. - Pojawiają się tylko trudności semantyczne. Wiem bardzo dobrze, co to jest pozytron, tylko nie kojarzę tego z nazwą. Przyswoiłem sobie tylko jego znaczenie inten-cjonalne, którego i tak nie da się wyrazić słowami.

- Ale da się wyrazić znaczenie ekstensjonalne - zwrócił uwagę Narcyz.

- To nie dla mnie. Jak powiedział Humpty Dumpty, pozostaje pytanie, kto jest panem. W moim przypadku panem jest słowo. Te cholerne słowa przyprawiają mnie o gęsią skórkę. Po prostu nie chwytam ich znaczenia ekstensjonalnego.

- To głupie - powiedział robot. - Pozytron to słowo o całkowicie jasnym znaczeniu.

- Może dla ciebie. Dla mnie to znaczy tyle co banda chłopaków z rybimi ogonami i zielonymi wąsikami. I właśnie dlatego nigdy nie umiem domyślić się, co nabroiła moja podświadomość. Muszę stosować logikę symboliczną, a symbole... e tam, zamknij się - warknął Gallegher. - W ogóle po co mam się z tobą kłócić o semantykę?

- Pan zaczął - powiedział Narcyz.

Gallegher obrzucił robota nieprzyjaznym spojrzeniem, a następnie wrócił do zagadkowej maszyny, która wciąż pożerała ziemię i śpiewała o szpitalu świętego Jakuba.

- Ciekawe, dlaczego właśnie tę piosenkę?

- Przecież pan właśnie ją śpiewa po pijanemu, nie? Szczególnie w łazience.

- To mi nic nie mówi - powiedział krótko Gallegher. Zaczął badać maszynę. Urządzenie pracowało płynnie, szybko, wydzielając wielką ilość ciepła i trochę dymiąc. Gallegher odnalazł zawór smarowniczy, schwycił starą olejarkę i trysnął z niej smarem. Dym zniknął, a wraz z nim lekki zapach spalenizny.

- Nic z niej nie wychodzi - powiedział Gallegher po dłuższym okresie zdumionego skupienia.

- Tam? - wskazał robot.

Gallegher obejrzał szybko obracający się krążek z rowkiem. Tuż za nim, w gładkiej powierzchni cylindrycznej rury znajdował się mały okrągły otworek.

Jednak nie wyglądało na to, aby coś z tej rury wychodziło,

- Przesuń wyłącznik - powiedział Gallegher. Narcyz wykonał polecenie. Zawór zamknął się i krążek stanął. Natychmiast ustały wszystkie czynności. Muzyka ucichła. Macki wysunięte przez okno przestały wirować i skróciły się do zwykłej długości stanu spoczynku.

- Hm, najwyraźniej nie ma produktu końcowego - zauważył Gallegher. - Maszyna pożera ziemię i trawi ją całkowicie. To nie ma sensu.

- Nie ma?

- No jasne. W ziemi są różne pierwiastki. Tlen, azot... pod Nowym Jorkiem jest granit, więc jest i glin, sól, krzem... różne rzeczy. Żaden rodzaj przemiany fizycznej ani chemicznej tego nie tłumaczy.

- To znaczy, że maszyna powinna coś wytwarzać?

- Owszem - powiedział Gallegher. - To znaczy, racja. Miałbym znacznie lepszy humor, gdyby coś wytwarzała. Choćby błoto.

- A muzyka? - zwrócił uwagę Narcyz. - Oczywiście, jeśli ze spokojnym sumieniem można to wycie nazwać muzyką.

- Nawet w najśmielszej wyobraźni nie mogę dopuścić, aby powstała mi w głowie tak szaleńcza myśl - solennie zaprzeczył konstruktor. - Przyznaję, że moja podświadomość jest lekko kopnięta, ale jest logiczna, choć trochę po wariacku. Na pewno nie zbudowałyby maszyny do przemiany ziemi w muzykę, nawet gdyby to było możliwe.

- Ale przecież właśnie to robi, nie?

- Nie robi. Ciekawe, co Hopper u mnie zamówił. Cały czas gadał coś o fabrykach i widowniach.

- On tu zaraz będzie - powiedział Narcyz. - Niech pan go spyta.

Gallegher nie raczył odpowiedzieć. Zastanowił się, czy nie zażądać więcej piwa, odrzucił ten pomysł i zamiast tego siadł do dystrybutora trunków, aby z paru alkoholi zmiksować sobie klina. Potem usiadł na generatorze, który nosił dającą wiele do myślenia nazwę Monstro. Rozczarowany najwidoczniej, przesiadł się na mniejszy generator, zwany Bąbelkiem.

Gallegherowi zawsze najlepiej się myślało na Bąbelku.

Klin naoliwił mu mózg zasnuty oparami alkoholu. Maszyna bez produktu końcowego... ziemia przemieniająca się w nicość. Hmmm. Materia nie może znikać jak królik w kapeluszu magika. Gdzieś musi się podziewać. Przemiana w energię? Najwyraźniej nie. Maszyna nie wytwarzała energii. Przewody i wtyczki wskazywały, że przeciwnie, maszyna, by działać, potrzebowała energii elektrycznej.

A więc...

Co?

Spróbujmy z innej strony. Podświadomość Galleghera - Gallegher Bis - zbudowała to urządzenie z jakiegoś logicznego powodu. Powód ten wzmocniony został przychodem trzech tysięcy kredytek. Otrzymał tę sumę od trzech różnych osób i miał wykonać - może - różne rzeczy.

Która z nich pasowała do tej maszyny?

Spójrzmy na to jak na równanie. Nazwijmy klientów a, b i c. Nazwijmy cel maszyny - oczywiście nie samą maszynę - x. Wtedy a (lub) b (lub) c = x.

Nie całkiem. Symbol a nie reprezentuje Delia Hoppera, tylko to, co mu jest potrzebne. A to, co mu jest potrzebne, musi z konieczności i logicznie być celem maszyny.

Albo to, co jest potrzebne tajemniczemu J. W. czy równie tajemniczemu Grubaskowi.

No, Grubasek był odrobinę mniej tajemniczy. Gallegher miał tu pewną wskazówkę, nie

wiadomo zresztą, ile wartą. Jeśli J. W. to b, w takim razie Grubasek będzie c plus tkanka tłuszczowa. Nazwijmy tkankę tłuszczową t; co wtedy mamy?Pragnienie.

Gallegher zażądał więcej piwa odrywając Narcyza od pozowania przed lustrem. Zadudnił piętami w Bąbelka, skrzywił się; kosmyk czarnych prostych włosów opadł mu na oczy.

Więzienie?

Och! Nie, gdzieś musi być jeszcze jakieś rozwiązanie. Na przykład akcje "Wszystkich Zadań". Po co Gallegher kupił ich za cztery tysiące, skoro leciały w dół?

Gdyby mógł znaleźć na to odpowiedź, może by to pomogło. Gallegher Bis bowiem nie robił niczego bez przyczyny. A co to w ogóle za firma, owe "Wszystkie Zadania"? Włączył w wideofonie informator Manhattanu. Na szczęście "Zadania" były korporacją zarejestrowaną przez państwo i miały biura na wyspie. Na ekranie pojawiło się pełnowymiarowe ogłoszenie:

WSZYSTKIE ZADANIA

ROBIMY WSZYSTKO

WID. RED 4-1400-M

No, Gallegher miał już numer wideofonu firmy, to było coś. Gdy zaczął nakręcać RED, zabręczał dzwonek w drzwiach; Narcyz odwrócił się niechętnie od lustra i poszedł otworzyć. Wrócił po chwili prowadząc podobnego do bizona pana Hoppera.

- Przepraszam za spóźnienie - zadudnił Hopper. - Mój kierowca przejechał czerwone światło i jakiś gliniarz nas zatrzymał. Musiałem mu zdrowo nawrzucać.

- Kierowcy?

- Gliniarzowi. No, gdzie to jest?

Gallegher zwilżył wargi. Czy rzeczywiście Gallegher Bis kopnął w tyłek tego wielkiego jak góra faceta? Nie była to miła myśl.

Pokazał ręką w stronę okna. - Tam. - Czy miał rację? Czy Hopper zamówił maszynę, która pożera ziemię?

Oczy Hoppera rozszerzyły się ze zdumienia. Rzucił Gallegherowi szybkie spojrzenie pełne zastanowienia, a następnie ruszył ku maszynie oglądając ją ze wszystkich stron. Wyrzał przez okno, ale najwyraźniej to, co tam zobaczył, nie zainteresowało go zbyt. Zamiast tego odwrócił się do Galleghera z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- To ma być to? Całkowicie nowa zasada, co? No, ale musi być nowa. I znowu żadnej wskazówki. Gallegher spróbował się słabo uśmiechnąć. Hopper tylko mu się przyglądał.

- No, dobra - powiedział. - Jakie jest praktyczne zastosowanie? Gallegher schwycił się brzytwy. - Lepiej panu pokażę - powiedział w końcu. Przeszedł pod okno i przesunął wyłącznik. Maszyna natychmiast zaczęła śpiewać "Szpital świętego Jakuba". Macki wydłużyły się i zaczęły pożerać ziemię. Otworzyła się dziurka w cylindrze. Krążek z rowkiem zaczął się obracać. Hopper czekał.

- No? - powiedział po chwili.

- Nie... nie podoba się panu?

- Skąd mam wiedzieć? Nawet nie wiem, co to robi. Nie ma żadnego ekranu?

- Oczywiście że jest - powiedział Gallegher całkowicie zbity z tropu. - W tym cylindrze.

- W... czym? - Krzaczaste brwi Hoppera przykryły jego czarne jak smoła oczy. - W tym cylindrze?

- Mhm.

- Po... - wyglądało, jakby Hopper się dusił. - Po co tam jest, skoro człowiek nie ma rentgenowskich oczu?

- A powinien mieć rentgenowskie oko? - wymamrotał Gallegher oszołomiony ze zdumienia. - Pan chciał ekran z rentgenowskimi oczami?

- Jesteś jeszcze pijany - warknął Hopper. - Albo we łbie ci się pomieszało.

- Niech pan zaczeka chwilę. Może zrobiłem błąd...

- Błąd!

- Niech mi pan powie tylko jedno. Co ja miałem dla pana zrobić? Hopper wziął trzy głębokie oddechy.

- Pytałem ciebie - powiedział zimnym, pedantycznym tonem - czy możesz opracować metodę projekcji obrazów trójwymiarowych, które można by oglądać pod dowolnym kątem, z przodu, z tyłu czy z boku, bez zniekształcenia. Powiedziałeś, że tak. Dałem ci tysiąc kredytów zaliczki. Namotałem parę fabryk, aby można było niezwłocznie podjąć produkcję. Moi ludzie szukają odpowiednich widowni. Planuję kampanię sprzedaży odpowiednich przystawek do telewizorów domowych. A teraz,

panie Gallegher, idę do mojego radcy prawnego i powiem, żeby ci przykręcił śrubę.

Wyszedł parszcząc. Robot zamknął cicho drzwi, wrócił i bez polecenia ruszył po piwo. Gallegher powstrzymał go skinieniem.

- Skorzystam z dystrybutora - jęknął, miksując sobie mocnego drinka. - Narcyz, wyłącz tę

cholerną maszynę. Ja nie mam siły.

- W każdym razie jednego się pan dowiedział - rzekł robot pocieszająco. - Tego urządzenia nie zbudował pan dla Hoppera.

- Słusznie. Słusznie. Zrobiłem je dla... hm... albo J. W., albo dla Grubaska. Jak mam się dowiedzieć, kim oni są?

- Musi pan odpocząć - powiedział robot. - Czemu nie miałby pan się odprężyć i posłuchać mojego uroczego, melodyjnego głosu? Poczytam panu.

- On nie jest melodyjny - powiedział Gallagher automatycznie, nie zastanawiając się. - Skrzypi jak zardzewiałe zawiasy.

- Dla pańskich uszu. Moje zmysły są inne. Dla mnie pański głos brzmi jak skrzek astmatycznej żaby. Nie może pan zobaczyć mnie, jak jfa siebie widzę, i tak samo nie może pan mnie usłyszeć, jak ja siebie słyszę. Co zresztą nie szkodzi. Zemdlałby pan z rozkoszy.

- Narcyzie - powiedział cierpliwie Gallagher - próbuję się skupić. Czy możesz łaskawie zamknąć swoją metalową gębę?

- Nie nazywam się Narcyz - odrzekł robot. - Na imię mi Joe.

- Więc zmieniam ci imię. Zastanówmy się. Sprawdzalem "Wszystkie Zadania". Co to był za numer?

- RED 5-1400-M.

- A, tak. - Gallagher siadł do wideofonu. Sekretarka, z którą się połączył, była chętna do pomocy, ale nic ważnego nie umiała powiedzieć.

"Wszystkie Zadania" była to określonego rodzaju spółka akcyjna. Miała powiązania z całym światem. Kiedy jakiś klient chciał, aby coś dla niego zrobić, przez swoich agentów kontaktowała się z odpowiednią firmą i nakręcała kontrakt. Sprawa polegała na tym, że "Wszystkie Zadania" dostarczały pieniędzy finansując operacje i działając na zasadzie zysku procentowego. Brzmiało to bardzo skomplikowanie i Gal-legherowi nic nie wyjaśniło.

- Czy w waszych kartotekach figuruje moje nazwisko? A... no dobrze, czy może mi pani powiedzieć, kto to jest J. W?

- J. W.? Bardzo pana przepraszam, ale potrzebne mi pełne nazwisko... - Nie znam go. A to ważna sprawa. - Gallagher długo się spierał, ale w końcu przekonał sekretarkę. Jedynym pracownikiem "Wszystkich Zadań", który nosił inicjały J. W. był niejaki Jackson Wardell, który w tym czasie przebywał na Callisto. - Jak długo tam jest?

- Urodził się tam - brzmiała okrutna odpowiedź sekretarki. - Nigdy nie był na Ziemi. Pewna jestem, że pan Wardell nie może być tą osobą, której pan szuka.

Gallegher zgodził się z nią. Postanowił, że nie ma co pytać jej o Grubaska, i z lekkim westchnieniem przerwał połączenie. No i co teraz?

Zadzwonił wideofon. Na ekranie pojawiła się twarz puciołowatego, łysawego, pulchnego człowieka, który ze zdenerwowania marszczył czoło. Na widok konstruktora zachichotał z ulgą.

- A, jest pan, panie Gallegher - powiedział. - Od godziny staram się z panem połączyć. Chyba linia jest nie w porządku. O, mój Boże, myślałem, że odezwie się pan wcześniej!

Serce Galleghera załomotało. Grubasek... oczywiście!

Dzięki Bogu nareszcie koło fortuny zaczęło się obracać, Grubasek - osiemset kredytek. Zaliczka. Zaliczka na poczet czego? Maszyny? Czy była ona rozwiązaniem problemu Grubaska czy J. W.? Gallegher usilnie błagał los, aby Grubasek potrzebował maszyny, która pożera ziemię i śpiewa "Szpital świętego Jakuba". Obraz na ekranie zamglił się i zamigotał.

- Coś się dzieje na linii - powiedział pośpiesznie Grubasek. - Ale... czy udało się panu, panie Gallegher? Czy znalazł pan metodę?

- Oczywiście - powiedział Gallegher. Gdyby tylko mógł wyciągnąć coś z faceta, jakąś wskazówkę na temat tego, jakie było zamówienie...

- Och, cudownie! "Wszystkie Zadania" codziennie mnie ponaglają. Zwlekałem, ile mogłem, ale wiecznie nie będą czekać. Cuff ostro naciska, a ja nie mogę obejść tej starej ustawy...

Ekran zgasł.

W napadzie bezsilnego szału Gallegher omal nie odgryzł sobie języka. Zaczął szybko chodzić po laboratorium, z nerwami napiętymi od oczekiwania. Grubasek zadzwoni jeszcze raz. Na pewno. A tym razem pierwsze pytanie, które zada Gallegher, będzie brzmiało "Kim pan jest?"

Czas mijał.

Gallegher jęknął i sam spróbował uzyskać połączenie prosząc centralę, aby sprawdziła, z jakim numerem rozmawiał.

- Przykro mi, proszę pana. Połączenie nie było przez centralę. Nie możemy ustalić, skąd rozmawiano.

Dziesięć minut później Gallegher przestał przeklinać, chwycił kapelusz zawieszony na żelaznej figurce psa, która kiedyś służyła jako dekoracja trawnika, i ruszył w stronę drzwi. - Wychodzę - rzucił w stronę Narcyza. - Miej oko na tę maszynę.

- Dobrze, jedno oko - zgodził się robot. - Drugie będzie mi potrzebne do oglądania mojego precudnego wnętrza. Czemu nie dowie się pan, kto to jest Cuff?

- Co?

- Cuff. Grubasek wspominał o kimś takim. Mówił, że Cuff ostro naciska...

- Jasne! Tak mówił. I... co tam jeszcze było? Mówił, że nie może obejść starej wystawy...

- Ustawy. To znaczy prawa.

- Wiem, co to ustawa - warknął Gallagher. - Nie jestem kompletnym idiotą. Przynajmniej jeszcze nie. Cuff, co? Spróbuję jeszcze raz wykorzystać informator.

W spisie było sześć osób o tym nazwisku. Ze względu na płeć Gallagher wyeliminował połowę; wykreślił również firmę Cuff-Linx Manufacturing Co. i pozostały mu dwie osoby: Max i Frederick. Połączył się z Frederickiem i ujrzał chudego chłopaka z wytrzeszczeni oczu, który wyraźnie nie wkroczył jeszcze w wiek dorosły. Gallagher obrzucił go morderczym spojrzeniem pełnym frustracji i przerwał połączenie. Osłupiały Frederick przez następne pół godziny zastanawiał się, kto do niego zadzwonił, wykrzywił się jak upiór i rozłączył się bez słowa.

Pozostał jeszcze Max Cuff i to była rzeczywiście właściwa osoba. Gallagher upewnił się o tym, gdy kamerdyner Maxa Cuffa przełączył rozmowę do biura w mieście, skąd recepcjonistka oświadczyła, że pan Cuff spędza popołudnie w klubie Uplift.

- Ach tak? A kto to w ogóle jest Cuff?

- Nie rozumiem pana?

- Jaką ma fuchę? To znaczy, interes?

- Pan Cuff nie ma żadnego interesu - oświadczyła dziewczyna lodowatym tonem. - Pan Cuff jest radnym miejskim.

To było interesujące. Gallagher rozejrzał się za kapeluszem, stwierdził, że ma go na głowie, pożegnał się z robotem, który nie raczył odpowiedzieć. - Jeśli Grubasek zadzwoni raz jeszcze - powiedział konstruktor - zapytaj, jak się nazywa. Rozumiesz? I uważaj na tę maszynę, gdyby chciała się przekształcić, czy coś w tym rodzaju.

Wyglądało na to, że Gallagher pomyślał o wszystkim; wyszedł więc z domu. Wiał chłodny jesienny wiatr strącając suche liście z napowietrznych alejek.

Przeleciało kilka aerotaksówek, ale Gallagher zatrzymał naziemną, bo chciał widzieć, którądy pojedzie. Miał niejasne przekonanie, że wideofon do Maxa Cuffa nie da mu wiele. Z tym facetem trzeba będzie sprytnie pograć, szczególnie skoro

potrafi „ostro naciskać”.

- Dokąd jedziemy?

- Do klubu Uplift. Wie pan, gdzie to jest?

- Nie - powiedział kierowca - ale się dowiem. - Włączył klawisz informatora na desce rozdzielczej. - W mieście, nie za blisko.

- Dobra jest - powiedział Gallagher i opadł na oparcie, zatopiony w czarnych myślach. Czemu wszyscy byli tacy nieuchwytni? Zazwyczaj duchy nie korzystały z jego usług. Jednak Grubasek pozostał osobą nieokreśloną, bez nazwiska, po prostu

twarzą, której Gallagher nie znał. Kim zaś był J. W., nie wiadomo. Tylko Deli Hopper przybrał realne kształty, czego Gallagher bardzo żałował. Wezwanie sądowe szeleściło mu w kieszeni.

- Potrzebuję się napić - rzekł do siebie Gallagher. - Ot i cały kłopot. Nie pozostałem pijany. Przynajmniej nie dość długo. A, cholera.

Po jakimś czasie taksówka zatrzymała się przy budynku, który kiedyś był pałacykiem wybudowanym z cegły i szkła. Opustoszały, wyglądał ponuro. Gallagher wysiadł, zapłacił kierowcy i wszedł podjazdem. Nieduży szyld głosił, że jest to klub Uplift. Ponieważ nie było dzwonka, Gallagher otworzył drzwi i wszedł do środka.

Natychmiast jego nozdrza rozszerzyły się jak u konia kawaleryjskiego, który poczuł zapach prochu. W środku odbywało się picie. Z instynktem gołębia pocztowego Gallagher ruszył prosto w stronę baru znajdującego się przy jednej ścianie sali wypełnionej krzesłami, stołami i ludźmi. Jakiś człowiek o smutnej twarzy, w kapeluszu na głowie grał w kacie na bilardzie elektrycznym. Gdy

Gallagher się zbliżył, smutny spojrzał na niego i zastąpił mu drogę.

- Szukasz kogoś? - mruknął.

- Aha - powiedział Gallagher. - Maxa Cuffa. Powiedzieli mi, że tu jest.

- Zaraz, zaraz - powiedział smutny facet. - Czego chcesz od niego?

- Chodzi o Grubaska - zaryzykował Gallagher. Przeszyło go spojrzenie zimnych oczu.

- Kogo?

- Ty go nie znasz. Ale Max zna.

- Max chce cię widzieć?

- Jasne.

- No więc - rzekł smutny z powątpiewaniem - Max jest w Trzech Gwiazdach i robi obchód barów. Kiedy zacnie...

- Trzy Gwiazdy? Gdzie to jest?

- Broad Avenue czternaście.

- Dzięki - powiedział Gallagher. Wyszedł, obrzucając bar tęsknym spojrzeniem.

Dobrze, dobrze, jeszcze nie. Najpierw interesy.

Trzy Gwiazdy była to zwykła mordownia, w której na ścianach wyświetlano wesołe filmy. Były one stereoskopowe i lekko obrzydliwe. Przyjrząwszy się im w zamyśleniu Gallagher potoczył wzrokiem po gościach. Nie było ich wielu. Uwagę jego zwrócił siedzący przy jednym końcu baru potężny facet, ze względu na kwiat gardenii, który miał w butonierce, oraz krzykliwy brylant na palcu. Gallagher podszedł do niego.

- Pan Cuff?

- Tak jest - odrzekł facet obracając się na stołku jak Jowisz wokół swej osi. Przyjrzał się Gallagherowi kołysząc się lekko. - A kto ty jesteś?

- Ja...

- Nieważne - powiedział Cuff przymrużając oko. - Nigdy po robocie nie mów, jak się naprawdę nazywasz. Ukrywasz się, co?

- Co?

- Jak tylko takiego zobaczę, od razu go rozpoznam. Ty... ty... hej! - powiedział Cuff pochylając się naprzód i wężąc. - Ty piłeś!

- Piłem - odrzekł gorzko Gallagher. - To stwierdzenie zupełnie nie oddaje rzeczywistości.

- To napij się ze mną - zaprosił go Cuff. - Doszedłem już do E. Egri burgundi. Tim! - ryknął. - Jeszcze jeden egri dla mojego kumpla! Na jednej nodze. I zajmij się F.

Gallagher wśliznął się na stołek obok Cuffa i przyglądał się swemu towarzyszowi ciekawie. Radny wyglądał na lekko podciętego.

- Tak - powiedział Cuff - najlepiej pić alfabetycznie. Zaczyna się od A - absyntu, a potem według alfabetu - brandy, cointreau, daiquiri, egri...

- A co potem?

- Oczywiście F - powiedział Cuff, z lekka zdumiony. - Flip. O, już jest egri dla ciebie. No to lu!

Wypili. - Niech pan posłucha - powiedział Gallagher. - Muszę z panem pogadać o Grubasku.

- O kim?

- O Grubasku - powiedział Gallagher mrugając znacząco. - Wie pan. Ostatnio pan naciska. Ustawa. Wie pan.

- Ach, o nim! - Cuff nagle ryknął gargantuicznym śmiechem. - Grubasek, co? To dobre. To bardzo dobre. Grubasek, to do niego bardzo pasuje.

- Ale on się nie nazywa... podobnie? - zapytał sprytnie Gallagher.

- Ani trochę. Grubasek!

- Czy jego nazwisko pisze się przez e, czy przez i?

- Jedno i drugie - powiedział Cuff. - Tim, gdzie jest flip? A, już gotowy? No to lu, stary.

Gallegher skończył egri i zajął się flipem. I co teraz?

- Grubasek? - zaryzykował.

- Tak?

- Jak leci?

- Nigdy nie odpowiadam na pytania - odpowiedział Cuff gwałtownie trzeźwiejąc. Spojrzał ostro na Galleghera. - Ty jesteś od nas? Nie znam ciebie.

- Jestem z Pittsburga. Kazali mi przyjść do klubu, kiedy przyjadę.

- To się kupy nie trzyma - powiedział Cuff. - A, dobrze. Nieważne. Załatwiłem parę spraw i świętuję. Skończyłeś flipa? Tim! Gold-wasser!

Na G wypili goldwasser, na H - hennessy, na I - istrę. - Teraz jarzębiak - powiedział Cuff z satysfakcją. - Tylko ten bar w mieście to sprowadza. Potem muszę opuszczać litery. Nie znam niczego na K.

- Kloisterkeller - powiedział Gallagher nieprzytomnie.

- K... co? Co to takiego? Tim! - Cuff ryknął na barmana. - Masz kloisterkeller?

- Nie mam - powiedział Tim. - Nie prowadzimy, proszę pana.

- To poszukamy kogoś, kto prowadzi. Jesteś cwany, stary. Idziemy razem. Potrzebuję cię.

Gallegher posłusznie poszedł za nim. Ponieważ Cuff nie chciał rozmawiać o Grubasku, wypadało zdobyć jego zaufanie. A najlepszym sposobem było picie z nim. Niestety, alfabetyczny ochlaj, przy wszystkich fantastycznych mieszankach, okazał się wcale niełatwy. Gallagher już miał kaca. A pragnienie Cuffa było nie do zaspokojenia.

- "L"? Co na "L"?

- Lacrima Christi. Albo liebfraumilch.

- O rany!

Pewną ulgę przyniósł powrót do martini. Po orzechówce Galleghe-rowi zaczęło wirować w głowie. Na "R" zaproponował nzlinga, ale, Cuff nie chciał o tym słyszeć.

- No to ryżowe wino.

- Dobrze. Ryżowe... hej! Opuściliśmy "N"! Trzeba wracać do "A"!

Z wielkim kłopotem Gallegher wyperswadował mu to; udało mu się, dopiero gdy oczarował Cuffa egzotyczną nazwą ng ga po. Ruszyli w dalszą drogę po alfabecie poprzez sake, tequilę, unicum, vermouth. "W" to oczywiście była whisky.- X?

Spojrzeli po sobie poprzez opary alkoholu. Gallegher wzruszył ramionami i potoczył wzrokiem dookoła. Skąd się wzięli w tym szykownym, dobrze umeblowanym gabinecie klubowym, zastanawiał się. Jedno było pewne - to nie Uplift. Hm, no...

- X - naciskał Cuff. - Nie zawieźdź mnie teraz, stary.

- E X trą żytnia - Gallegher wpadł na znakomity pomysł.

- To jest to! Zostały tylko dwie. Y i... i co jest po Y?

- Grubasek. Pamięta pan?

- A, stary Grubasek Smith - powiedział Cuff, parskając nieopanowanym śmiechem. Przynajmniej brzmiało to jak "Smith". - Grubasek. To do niego bardzo pasuje.

- Jak mu na imię? - zapytał Gallegher.

- Komu?

- Grubaskowi.

- Nigdy o takim nie słyszałem - powiedział Cuff i zachichotał. Zbliżył się goniec i dotknął ramienia radnego.

- Ktoś do pana, czeka na zewnątrz. '

- Dobrze. Zaraz wracam, stary. Wszyscy wiedzą, gdzie można mnie znaleźć... przeważnie tutaj. Nigdzie nie odchodź. Zostało jeszcze Y i... i... i ta druga...

Zniknął mu z oczu. Gallegher odstawił nietkniętego drinka, podniósł się i lekko się chwiejąc

ruszył w stronę hallu. W oko wpadł mu stojący tam wideofon. Powodowany nagłym impulsem wszedł do środka i wykręcił numer laboratorium.

- Znowu schlany - powiedział Narcyz, ledwie jego twarz ukazała się na ekranie.

- Święte słowa - zgodził się Gallegher. - Jestem skuty jak... ep!... jak świnia. Ale coś mam.

- Lepiej niech się pan postara o ochronę policyjną - powiedział robot. - Zaraz jak pan poszedł do domu, wdarło się paru bandziorów. 'Szukali pana.

- Paru co? Powtórz.

- Trzech bandziorów - cierpliwie powtórzył Narcyz. - Główny z nich był chudy i wysoki; ubrany w garnitur w kratkę, miał żółte włosy i złoty ząb na przedzie.

Pozostali...

- Niepotrzebny mi rysopis - warknął Gallegher. - Powiedz mi tylko, co się stało.

- Już wszystko powiedziałem. Chcieli pana porwać. Potem chcieli ukraść maszynę. Przepędziłem ich. Jak na robota, jestem dość silny.

- Czy maszynie nic się nie stało?

- A co ze mną? - poskarżył się Narcyz. - Ja jestem dużo ważniejszy niż jakaś zabawka. Czy nic pana nie obchodzą moje rany?

- Nie - odrzekł Gallegher. - A masz jakieś?

- Oczywiście że nie. Ale mógłby pan okazać choć trochę zainteresowania...

- Czy maszynie nic się nie stało?!!!

- Nie dopuściłem ich do niej - powiedział robot. - I niech pana szlag trafi.

- Zadzwoń jeszcze raz - rzekł Gallegher. - Teraz potrzebuję czarnej kawy. Wyłączył się, wstał i wytoczył się z kabiny. W jego kierunku szedł Max Cuff. Za radnym szło trzech mężczyzn.

Jeden z nich zatrzymał się w pół kroku otwierając ze zdumienia usta. - To ten gość, szefie. To Gallegher. Czy to z nim pan pił?

Gallegher próbował zogniskować oczy. Obraz faceta wyostrzył się. Był to wysoki, chudy osobnik w ubraniu w kratkę, z żółtymi włosami i złotym zębem na przedzie.

- Stuknijcie go - powiedział Cuff. - Szybko, zanim krzyknie. I zanim ktoś inny się tu zjawi. Gallegher, co? Spryciura, co?

Gallegher ujrzał, jak coś leci w stronę jego głowy, i usiłował wskoczyć z powrotem do kabiny wideofonu, niczym ślimak wpełzający do muszli. Nie udało się.

Oślepiły go wirujące błyski olśniewającego światła.

Cały kłopot z naszą kulturą społeczną, myślał sennie Gallegher, polega na tym, że cierpi ona zarówno na przerost, jak i na zwapnienie powłoki zewnętrznej.

Cywilizację można porównać do grządki kwiatów. Każda pojedyncza roślina jest częścią składową kultury. Wzrost roślin to postęp. Technologia, ten kwiat ze straconymi złudzeniami, otrzymała ongiś porządny zastrzyk mieszanki odżywczej w

postaci wojen, które zmusiły ją do rozwoju z czystej konieczności. Ale żaden świat nie jest zadowolający, jeśli wszystkie części nie równają się całości. Kwiat głużył inną roślinę, która wykształciła w sobie tendencje pasożytnicze.

Zaprzestała wypuszczać korzenie. Owinęła się wokół kwiatu wspinając się po jego łodydze i liściach. Tą dławiącą lianą były religia, polityka, ekonomia, kultura - przestarzałe formy, które zbyt powoli się zmieniały, prześcignięte przez ową płomienną kometę nauk ścisłych unoszącą się na nieograniczonym niebie nowej ery.

Dawno temu literaci sądzili, że w przyszłości - ich przyszłości - model socjologiczny będzie inny. W erze statków kosmicznych zanikną takie nielogiczne zachowania, jak oszustwa giełdowe, brudna polityka czy gang-sterstwo. Jednak owi teoretycy nie mieli dość przenikliwości. Erę statków kosmicznych postawili w zbyt odległej przyszłości.

Ley wylądował na Księżycu wcześniej niż wycofano samochody z gaźnikami.

Wielkie wojny pierwszej połowy dwudziestego wieku nadały gwałtowne przyspieszenie rozwojowi techniki i rozwój ten trwał nadal. Niestety przeciętni ludzie zajmowali się głównie takimi sprawami, jak ro-boezogodziny i inflacja. Jedyne zgodny okres przypadł na czas wielkich projektów, np. Program Missisipi i podobne. I wreszcie był to czas chaosu, reorganizacji, burzliwych przemian pojęć ze starych na nowe oraz huśtawki przeskakującej żwawo z jednej skrajności w drugą. Profesja adwokacka stała się tak skomplikowana, że zespoły ekspertów musiały używać kalkulatorów Pedersena i mózgow elektronowych Mecha-nistra do

przeprowadzania swoich naciąganych wywodów, które natychmiast trafiały w niezbadane krainy logiki symbolicznej, a co za tym idzie - pure nonsensu. Morderca mógł zostać uniewinniony, jeśli nie przyznał się do winy. A nawet jeśli się przyznał, istniały metody podważania solidnych, prawniczych dowodów.

Precedensy stały się przestarzałe. W tym szalonym labiryncie władze odwoływały się do niewzruszonych faktów historycznych - precedensów prawnych - które często obracały się przeciwko nim.

I tak szło rok po roku. Później socjologia doścignie postęp techniczny, ale jeszcze to nie

nastąpiło. Hazard ekonomiczny osiągnął poziom nigdy przedtem nie spotykany w historii świata. Trzeba było geniuszy, by rozwikłali ten cały bałagan. Mutacje, wywołane skłonnością przyrody do wyrównywania szkód, dały ostatecznie takich geniuszy, ale miało upłynąć jeszcze wiele czasu, nim osiągnie się zadowalające rozwiązanie. Człowiekiem, który będzie miał największe szansę przeżycia, Gallegher już to pojmował, jest ktoś, kto ma dużą zdolność adaptacji oraz pierwszorzędny i wszechstronny zasób wiedzy praktycznej i niepraktycznej oraz praktyczne doświadczenie we wszystkim. To znaczy w rzeczach pochodzenia roślinnego, zwierzęcego i mineralnego...

Gallegher otworzył oczy. Widać było niezbyt wiele, głównie dlatego, że - jak to natychmiast stwierdził - ktoś cisnął go na stół twarzą na dół. Wyteżając siły usiadł. Nie był związany, znajdował się na słabo oświetlonym strychu, który wyglądał na magazynek i wypełniony był porozbijanymi rupieciami. Z sufitu padało słabe światło jarzeniówki. Były i drzwi, ale stał przy nich facet ze złotym

zębem. Po drugiej stronie stołu siedział Max Cuff starannie nalewając whisky do szklanki.

- Ja też chcę - powiedział Gallegher słabym głosem. Cuff spojrzał na niego.

- Zbudziłeś się, co? Przykro mi, że Blazer stuknął cię tak mocno.

- A, nic. I tak pewnie bym stracił przytomność. Ten alfabetyczny obchód barów to mocna rzecz.

- Siup! - powiedział Cuff posuwając szklaneczkę w kierunku Galleghera i nalewając sobie następną. - Tak musiało być. To było sprytne, trzymać się mnie, czyli jedyne miejsce, gdzie chłopcom na myśl nie przyszło ciebie szukać.

- To u mnie wrodzone - rzekł skromnie Gallegher. Whisky goożywiła, ale w głowie miał jeszcze opary alkoholu. - Pańscy... hm... wspólnicy, przez co rozumiem oprychów spod ciemnej gwiazdy, próbowali mnie wcześniej porwać, prawda?

- Mhm. Nie było ciebie. Ten twój robot...

- To istne cudo.

- Dobra. Słuchaj, Blazer powiedział mi o tej maszynie, którą zrobiłeś. Wolałbym, żeby Smith nie położył na niej łapy.

Smith Grubasek. Hmmm. Układanka znowu się rozleciała. Gallegher westchnął. Jeśli zagra trzymając wszystkie karty przy sobie...

- Smith jeszcze jej nie widział.

- Wiem o tym - powiedział Cuff. - Mamy podgląd na jego wideofon. Jeden z naszych agentów wywęszył, że Smith powiedział "Wszystkim Zadaniom", iż pewien człowiek pracuje nad sprawą, rozumiesz? Niestety nie wymienił nazwiska tego człowieka. Mogliśmy tylko śledzić Smitha i podglądać jego rozmowy czekając, aż się z tobą skontaktuje. A potem... w każdym razie wyłapaliśmy to połączenie. Powiedziałeś mu, że masz to urządzenie.

- I co?

- Szybko przerwaliśmy rozmowę i Blazer z chłopcami poszedł złożyć ci wizytę. Mówiłem ci, że nie chcę, żeby Smith utrzymał ten kontrakt.

- Nic pan nie mówił o kontrakcie - powiedział Gallagher.

- Nie udawaj głupiego. Smith powiedział "Wszystkim Zadaniom", że wyłożył ci całą sprawę.

Może i zrobił tak. Tylko że Gallagher był wtedy uchłany i to Gallagher Bis słuchał tego Wszystkiego, niezawodnie gromadząc informacje w podświadomości.

Cuffowi odbiło się. Nagle odsunął szklankę.

- Później pogadamy. Strułem się, do diabła. Nie mogę dobrze myśleć. Ale... nie chcę, żeby Smith dostał tę maszynę w ręce. Twój robot nie pozwala się nam do niej zbliżyć. Połączysz się z nim przez wideo i wyślesz go gdzieś, żeby chłopcy mogli przynieść tu twoją maszynę. Mów: tak albo nie. Jeśli nie, to jeszcze tu wrócę.

- Nie - powiedział Gallagher. - Z tego powodu, że i tak mnie pan zabije, żebym nie zrobił Smithowi drugiej maszyny.

Powieki Cuffa powoli nasunęły się na oczy. Przez jakiś czas siedział nieruchomo, jakby uśpiony. Potem spojrzał niewidzącym wzrokiem na Gallaghera i wstał.

- No to zobaczymy się później. - Potarł ręką czoło; głos miał lekko przepity. - Blazer, trzymaj tu tę glistę.

Człowiek ze złotym zębem postąpił naprzód. - Dobrze się pan czuje?

- Jasne. Nie mogę myśleć... - Cuff wykrzywił się. - Łaźnia turecka. Tego mi trzeba. - Podszedł do drzwi pociągając za sobą Blazera. Gallagher ujrzał poruszające się usta radnego. Wychwycił kilka słów.

- ...spije się... wideo do robota... spróbujcie...

Cuff wyszedł. Blazer wrócił do pomieszczenia, siadł naprzeciwko Gallaghera i posunął w jego stronę butelkę.

- Nie przejmuj się - zaproponował. - Golnij sobie, dobrze ci zrobi.

Cwaniaki, pomyślał Gallagher. Myślą, że jak się zaleję, to zrobię, co chcą. Hm...

Był jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Gdy Gallagher znajdował się całkowicie pod wpływem alkoholu, kontrolę przejmowała jego podświadomość. A Gallagher Bis był wynalazcą-geniuszem; szalonym, ale utalentowanym.

Gallegher Bis na pewno znalazłby wyjście z tej sytuacji.

- O to chodzi - powiedział Blazer widząc, jak znika alkohol. - Jeszcze jednego. Max to fajny facet. Nic do ciebie nie ma. Tyle że nie lubi, jak mu ktoś bruździ w jego planach.

- Jakich planach?

- Jak w przypadku Smitha - wyjaśnił Blazer.

- Rozumiem. - Galleghera przechodziły dreszcze. Wkrótce powinien być już na tyle przesycony alkoholem, aby jego podświadomość mogła się wydostać. Pił dalej.

Być może za bardzo się starał. Zazwyczaj Gallegher bardzo starannie mieszał swoje drinki. Tym razem wszystkie składniki tego równania złożyły się na przygnębiające zero. Zobaczył, jak blat stołu powoli przybliży się do jego nosa, poczuł łagodne, dość przyjemne uderzenie i zaczął chrapać. Blazer podniósł się i potrząsnął nim.

- I c-co oni teraz robią za wódę - wychrapał Gallegher. - Nie ma t-to jak wino, kobiety i śpiew... wino, wino, wino... Cz-czerwone.

- Wina mu się zachciało - powiedział Blazer. - Ten facet ciągnie jak bibuła. - Jeszcze raz potrząsnął Gallegherem, ale bezskutecznie. Rozległo się mrulknięcie Blazera, a potem kroki, coraz słabsze.

Gallegher usłyszał, jak drzwi się zamykają. Spróbował usiąść, spadł z krzesła i walnął się boleśnie głową o stołową nogę.

Podziałało lepiej niż wiadro zimnej wody. Chwiejąc się, Gallegher stanął na nogach. Pokój na poddaszu był pusty, poza nim samym i różnymi rupieciami. Niezwykle ostrożnie podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Zamknięte. Mało tego, jeszcze wzmocnione stałą.

- Ładny gips - mruknął konstruktor. - Raz jeden potrzebna jest mi moja podświadomość, a ona nie chce się pokazać. Jak do diabła mam się stąd wydostać?

Nie było jak. Pokój nie miał okien, a drzwi były zabite na głucho. Gallegher posterował w kierunku stosu rupieci. Stara kanapa. Pudełko z papierami. Poduszki. Zwinięty dywan. Śmiecie.

Znalazł kawałek drutu, odłamek miki, plastikową spiralę, ongiś część ruchomej statuetki, i jeszcze parę drobiazgów. Złożył to wszystko do kupy. W rezultacie powstało coś, co mogło przypominać spluwę, choć podobne było także do miksera kuchennego. Wyglądało to niesamowicie, niczym marsjański miotacz.

Następnie Gallegher wrócił do krzesła i usiadł, siłą woli próbując wytrzeźwieć. Niespecjalnie mu się to udało. Kiedy znów usłyszał kroki, szumiało mu jeszcze w głowie.

Drzwi otworzyły się. Wszedł Blazer rzucając szybkie, czujne spojrzenie na Galleghera, który schował swój wynalazek pod stół.

- Już wróciłeś? Myślałem, że to może Max.

- On też przyjdzie - rzekł Blazer. - Jak się czujesz?

- We łbie mi szumi. Chciałbym się jeszcze napić. Tamtą butelkę skończyłem. - Faktycznie skończył ją, wylewając resztę zawartości do dziury w podłodze.

Blazer zaryglował drzwi i zbliżył się. Gallagher wstał, stracił równowagę i potknął się. Oprych zawahał się. Gallagher wyciągnął swoją spluwę-mikser i podniósł ją do oczu, zezując przez lufę na twarz Bla-zera.

Bandzior sięgnął po to coś, pistolet albo łamigłówkę. Jednak owo niesamowite urządzenie, które Gallagher w niego wycelował, zaniepokoiło go. Zatrzymał się.

Zaczął myśleć, cóż to za nowa groźba przed nim. W następnej chwili już postanowił działać, w taki czy inny sposób, zapewne kończąc ów zatrzymany ruch w kierunku pasa.

Gallegher nie czekał. Wzrok Blazera skupiony był na aparacie. Całkowicie ignorując zasady uczciwej walki konstruktor kopnął przeciwnika w podbrzusze. Gdy Blazer zgiął się w pół, Gallagher wykorzystał chwilową przewagę rzucając się naprzód na bandziora i powalając go na ziemię zawziętymi ciosami wszystkich czterech kończyn. Blazer nadal usiłował dosięgnąć swej broni, ale ten pierwszy nieczysty cios poważnie go obezwładnił.

Gallegher był wciąż jeszcze zbyt pijany, by dobrze skoordynować ruchy. Wynagrodził to sobie włączając na przeciwnika i waląc go systematycznie w splot słoneczny. Ta tak-tyka okazała się skuteczna. Po pewnym czasie udało mu się wyrwać Blazerowi łamigłówkę i solidnie przyłożyć mu w skroń. I to było tyle.

Gallegher powstał, przyglądając się swemu wynalazkowi i zastanawiając się, co też zdaniem Blazera mogło to być. Pewnie miotacz promieni śmierci. Uśmiechnął się słabo. W kieszeni nieprzytomnego oprycha znalazł klucz, otworzył drzwi od

strychu i zeszedł po schodach. Jak na razie, nieźle. Sława wynalazcy miała swoje dobre strony. Przynajmniej udało się przez to

odwrócić uwagę Blazera od stanu faktycznego. Co teraz?

Dom był trzypiętrowym opustoszałym budynkiem blisko łaźni. Gallagher wydostał się przez okno. Uciekł stamtąd nie zatrzymując się, dopóki nie znalazł się w aerotaksówce pędzącej w stronę dzielnic peryferyjnych. Siedząc w środku i ciężko

dyszając włączył filtr powietrza i puścił chłodny wiaterek, by mu chłodził spoconą twarz. Wysoko na czarnym jesiennym niebie pojawił się księżyc w pełni. Przez okienko w podłodze widać było jasne wstążki ulic przecięte oślepiającymi przekątnymi autostrad na górnym poziomie.

Smith. Grubasek Smith. Ma coś wspólnego z "Wszystkimi Zadaniem". Zapłacił pilotowi i w przypiływie ostrożności wysiadł na lądowisku na dachu domu w dzielnicy White Way. Znajdowały

się tam kabiny wideofoniczne; Gallegher połączył się z laboratorium. Na ekranie zobaczył robota.

- Narcyz...

- Joe - poprawił robot. - Znowu pan chlał. Dlaczego pan nie wytrzeźwieje?

- Zamknij się i słuchaj. Co się działo?

- Niewiele.

- Ci bandyci byli znowu?

- Nie - powiedział Narcyz - ale przyszło dwóch policjantów po pana. Pamięta pan to wezwanie sądowe? Miał pan stawić się w sądzie o piątej po południu.

Wezwanie. Ach, tak. Dęli Hopper, tysiąc kredytek.

- Czy są tam jeszcze?

- Nie. Powiedziałem, że wziął pan proszek.

- Dlaczego?

- Zęby się tu nie pętali. Teraz może pan wracać do domu, kiedy pan chce, jeśli będzie pan ostrożny.

- Co przez to rozumiesz?

- To pańska sprawa - powiedział Narcyz. - Niech pan sobie kupi sztuczną brodę. Ja już swoje zrobiłem.

- Dobrze - powiedział Gallegher. - Zrób dużo czarnej kawy. Dzwonił ktoś jeszcze?

- Wideo z Waszyngtonu. Jakiś komandor jednostki policji kosmicznej. Nie przedstawił się.

- Policji kosmicznej? Czy oni też mnie szukają? Czego chciał?

- Pana. - powiedział robot. - Do widzenia. Przerwał mi pan uroczą pioseneczkę, którą sobie nuciłem.

- Zrób tej kawy - zażądał Gallegher, gdy obraz już zniknął. Wyszedł z kabiny i stał przez chwilę zastanawiając się i jednocześnie patrząc bezmyślnie na unoszące się wokół niego wieżowce Manhattanu upstrzone nieregularnymi wzorami, ułożonymi przez oświetlone okna: prostokątne, okrągłe, owalne, półkoliste, a nawet w kształcie gwiazdy.

Wideo z Waszyngtonu.

Hopper ostro naciska.

Max Cuff i jego oprychy.

Grubasek Smith.

Najbardziej obiecująco wyglądał Smith. Wszedł jeszcze, raz do kabiny i wykręcił numer "Wszystkich Zadań".

- Przepraszam pana, ale już nie pracujemy.

- To bardzo ważne - nalegał Gallegher. - Potrzebuję pewnej informacji. Muszę skontaktować się z człowiekiem...

- Przykro mi bardzo.

- S-M-I-T-H - przeliterował Gallegher. - Niech pani tylko sprawdzi w spisie, czy gdzieś, dobrze? Czy też chce pani, żebym poderznął sobie gardło na pani oczach?

- Pogrzebał w kieszeni.

- Może zadzwoni pan jutro...

- Będzie już za późno. Niech pani to dla mnie zrobi. Proszę. Bardzo proszę.

- Przykro mi.

- Jestem akcjonariuszem "Wszystkich Zadań" - warknął Gallegher. - Ostrzegam panią, moja panno!

- A... och. No, co prawda, nie jest to przyjęte, ale... Smith? Jedną chwileczkę. Jak mu na imię?

- Nie wiem. Niech pani znajdzie mi wszystkich Smithów.

Dziewczyna zniknęła i pojawiła się ponownie z kartofelka opatrzoną napisem SMI.

- Ojej - powiedziała, przerzucając karty. - Tu będzie z kilka setek Smithów. Gallegher jęknął. - Potrzebny mi jest gruby Smith - powiedział desperacko. - Chyba nie ma tego jak sprawdzić.

Usta sekretarki zacisnęły się. - Ach rozumiem, to miał być dowcip. Dobranoc! - Przerwała połączenie.

Gallegher siedział wpatrując się w ekran. Kilkuset Smithów. Nie za dobrze. Właściwie zdecydowanie źle.

Jedną chwileczkę. Kupił akcje "Wszystkich Zadań", kiedy leciały w dół. Dlaczego? Musiał spodziewać się, że pójdą w górę. Ale według Arniego nadal spadały. Tu może być jakaś wskazówka.

Złapał Arniego w domu i przycisnął go do muru.

- Odwołaj swoje spotkanie. Moja sprawa nie zabierze ci dużo czasu. Dowiedz się tylko, dlaczego akcje "Zadań" lecą w dół. Zadzwoń do mnie do laboratorium. Inaczej skręcę ci kark. I szybko! Zdobądź mi te dane, jasne? Arnie zgodził się. Gallegher wypił kawę w ulicznym kiosku, zachowując ostrożność udał się taksówką do domu i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi na dwa

zamki. Narcyz tańczył przed wielkim lustrem w laboratorium.

- Dzwonił ktoś?

- Nie. Nic się nie działo. Spójrz na to wdzięczne pas.

- Później. Jeśli ktoś będzie chciał wejść, uprzedź mnie. Schowam się, póki się go nie pozbędziesz. - Gallegher mocno zacisnął oczy. - Czy kawa gotowa?

- Czarna i mocna. W kuchni.

Zamiast tego konstruktor poszedł do łazienki, rozebrał się, wziął zimny prysznic i lekkie naświetlanie. Czując się nieco mniej pijany wrócił do laboratorium z ogromnym kubkiem parującej kawy. Usadowił się na Bąbelku i zaczął przełykać płyn.

- Wygląda pan jak "Myślicie!" Rodina - zauważył Narcyz. - Znajdę panu szlafrok. Pańskie obrzydliwe ciało razi moje poczucie estetyki.

Gallegher nie słyszał tego. Włożył szlafrok, ponieważ spocona skóra nieprzyjemnie odczuwała chłód, nadal jednak pił kawę i patrzył nieprzytomnie w przestrzeń.

Równanie: a (albo) b (albo) c równa się x . Jak dotąd starał się znaleźć wartości a , b i c . Może to nie był dobry sposób. J. W. w ogóle nie znalazł. Smith pozostał nieuchwytny. A Dęli Hopper (tysiąc kredytek) był na nic. Może lepiej było znaleźć wartość x . Ta cholerna maszyna musi mieć jakiś cel. Owszem, pożerała ziemię. Ale materii nie można było zniszczyć; można ją było

przekształcić w inne formy.

Ziemia wchodziła do maszyny; nie wychodziło nic.

Nic widzialnego.

Wolna energia?

Jest niewidzialna, ale można ją wykryć przyrządami.

Woltomierzem, amperomierzem, elektroskopem...

Gallegher ponownie na chwilę włączył maszynę. Jej śpiew był niebezpiecznie głośny, ale nikt do drzwi nie zadzwonił, a po chwili Gallegher z powrotem przestawił przełącznik na pozycję 0. Nie dowiedział się niczego. Zadzwoił Arnie. Udało mu się zdobyć potrzebne Gallegherowi informacje.

- To nie było łatwe. Musiałem użyć paru sztuczek. Ale dowiedziałem się, dlaczego akcje "Wszystkich Zadań" lecą w dół.

- Dzięki Bogu! Gadaj.

- "Zadania" to jakby wielka giełda zamówień, wiesz. Wynajmują podwykonawców do różnych zadań. W tym przypadku to wielki biurowiec, który ma stanąć w centrum Manhattanu. Tyle że firma budowlana nie może zacząć pracy. W tej sprawie wchodzi w grę duży szmal, a powstała wokół tego szeptana kampania, która zaszkodziła akcjom "Zadań".

- Mów dalej.

Arnie kontynuował. - Zebrałem wszystko, co się dało, na wszelki wypadek. O tę fuchę starały się dwie firmy.

- Kto?

- Ajax i ktoś nazwiskiem...

- Może przypadkiem Smith?

- No właśnie - powiedział Arnie. - Thaddeus Smeith. Pisze się S-m-e-i-t-h. Nastąpiła dłuższa przerwa.

- S-m-e-i-t-h - powtórzył w końcu Gallagher. - To dlatego ta panienka nie mogła... co? A, nic. Powinienem być się domyślić. - No jasne. Kiedy zapytał Cuffa, czy nazwisko Grubaska pisze się przez „e” czy przez „i”, ten odpowiedział, że przez jedno i drugie. Smeith. Ha!

- Smeith dostał tę robotę - mówił dalej Arnie. - Przebił Ajax. Jednakże Ajax ma plecy na górze. Znaleźli jakiegoś radnego, który narobił wrzasku i powołał się na jakąś starą ustawę, którą usadził Smeitha. Chłop nic nie może zrobić.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ - powiedział Arnie - prawo nie pozwala mu blokować ruchu na Manhattanie. Ma to związek z prawami ruchu powietrznego. Klient Smeitha, czy raczej klient "Wszystkich Zadań", wykupił niedawno parcelę, ale prawa do ruchu lotniczego nad nią są wydzierżawione na dziewięćdziesiąt dziewięć lat przez Transworld Strato. Hangary stratoplanów znajdują się obok tej posesji, a sam dobrze wiesz, że stra-toplany pionowo nie startują. Potrzebują trochę miejsca na lot po prostej, zanim wzbijają się wyżej. I właśnie ich korytarz leży dokładnie nad tą posesją. Dzierżawa jest w porządku. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat

linie Transworld Strato mają prawo używać powietrza nad tą posesją, na wysokości powyżej piętnastu metrów od powierzchni ziemi.

Gallagher w zamyśleniu spojrział z ukosa na Amiego. - Jak więc Smeith miał zamiar postawić tam budynek?

- Nowy właściciel ma prawo do przestrzeni od piętnastu metrów nad powierzchnią ziemi do środka planety. Kapujesz? Wielki osiemdziesięciopiętrowy budynek w większości pod powierzchnią ziemi. Już to ktoś robił, ale nigdy przeciw komuś, kto ma plecy we władzach. Jeśli Smeithowi nie uda się wypełnić postanowień kontraktu, robotę weźmie Ajax, a ten idzie ręka w rękę z owym radnym.

- Owszem, Maxem Cuffem - powiedział Gallagher. - Poznałem już tego padalca. Ale... cóż to za ustawa, o której wspominałeś?

- Stara, w znacznym stopniu przestarzała, ale nadal obowiązująca, sprawdzałem. Nie wolno zakłócać ruchu ulicznego ani przeszkadzać w ruchu napowietrznym.

- No i co?

- Jeśli kopie się dziurę na osiemdziesiąt pięter - wyjaśnił Arnie - to wydobywa się mnóstwo ziemi i kamieni. Jak można to wszystko wywieźć nie zakłócając ruchu? Nawet nie próbowałem obliczać, ile ton trzeba wywieźć.

- Rozumiem - cicho powiedział Gallagher.

- I tak to jest jak na dłoni. Smeith dostał kontrakt. Teraz zaś jest w kropce. Nie może pozbyć się ziemi, którą będzie wydobywać, a niedługo już Ajax

..przejmie to wszystko i wyłudzi zezwolenie na wywóz ziemi.

- Jak, skoro Smeith nie może?

- Pamiętasz o radnym? No więc kilka tygodni temu zamknięto w okolicy kilka ulic w celu naprawy. Zrobiono objazd, przy samym placu budowy. Ruch jest tam zwięzony i zrobił się taki ścisk, że ciężarówki z ziemią zatkałyby go do reszty.

Oczywiście ten objazd jest czasowy... - Arnie zaśmiał się krótko - do czasu, kiedy Smeith zostanie zmuszony do oddania kontraktu. Wtedy objazd zniknie i Ajax będzie mógł postarać się o pozwolenie.

- Och - Gallagher spojrział przez ramię na maszynę. - Może jest sposób...Zadzwoił dzwonek u drzwi. Narcyz spojrział pytająco.

- Zrób mi jeszcze jedną przysługę, Arnie - powiedział Gallagher. - Sprowadź mi tu szybko Smeitha.

- Dobrze, zadzwonię do niego.

- Jego wideo jest na podglądzie. Nie zaryzykuję. Czy możesz podskoczyć do niego i mi go tu przywieźć?

Arnie westchnął. - Ciężko każesz mi pracować na moją prowizję. Ale dobrze.Wyłączył się. Gallagher wsłuchał się w dźwięk dzwonka, zmarszczył czoło i skinął na robota.

- Zobacz, kto to jest. Nie wierzę, aby Cuff próbował jeszcze jakichś sztuczek, ale... w każdym razie zobacz. Ja schowam się do tej szafy.

Stał w ciemnościach czekając, wyęzając słuch i zastanawiając się. Smeith - problem Smeitha został rozwiązany. Maszyna pożerała ziemię. Był to jedyny skuteczny sposób pozbycia się ziemi, jeśli nie chce się ryzykować eksplozji

wodorowej.

Osiemset kredytów zaliczki za urządzenie czy metodę, która bezpiecznie usunie dość ziemi, aby uzyskać miejsce na wybudowanie podziemnego biurowca, budynku, który musiał mieścić się w większości pod powierzchnią ziemi ze względu na

uprzednio wydzierżawione prawa ruchu powietrznego.

Może być. Tylko - gdzie podziwiała się ta ziemia?

Wrócił Narcyz i otworzył drzwi szafy. - Przyszedł komandor John Wali. To on dzwonił kilka godzin temu z Waszyngtonu, mówiłem panu, pamięta pan?

- John Wali?

J. W. - półtora tysiąca kredytów! Trzeci klient!

- Wpuść go! - rozkazał Gallegher bez tchu. - Szybko! Czy jest sam?

- Tak.

- To pośpiesz się!

Narcyz oddalił się i powrócił z siwowłosym, dobrze zbudowanym mężczyzną w mundurze policji kosmicznej. Wali uśmiechnął się przelotnie do Galleghera, a potem jego bystre spojrzenie padło na maszynę przy oknie.

- To jest to?

- Witam pana, komandorze - powiedział Gallegher. - Ja... ja jestem prawie zupełnie pewien, że to jest to. Ale chciałbym najpierw omówić z panem kilka szczegółów.

Wali zmarszczył brwi.

- Pieniądze? Nie może pan szantażować rządu. A może źle pana oceniłem? Pięćdziesiąt tysięcy kredytów powinno panu wystarczyć na jakiś czas. - Jego twarz rozjaśniła się. - Dostał pan już czek na półtora tysiąca; jestem w stanie wypisać panu czek na resztę natychmiast po zakończeniu udanej prezentacji.

- Pięćdziesiąt ty... - Gallegher głęboko zaczerpnął oddechu. - Nie, nie o to, oczywiście, chodzi.

Chciałem po prostu upewnić się, czy dotrzymałem warunków umowy. Chcę być pewien, że zrealizowałem wszystkie założenia. - Gdyby tylko mógł się dowiedzieć, co zamówił Wali! Może też maszynę pożerającą ziemię...

Była to nikła nadzieja, niemożliwy zbieg okoliczności, ale Gallegher musiał się dowiedzieć. Gestem wskazał komandorowi krzesło.

- Ale omawialiśmy już wszystko szczegółowo...

- Lepiej dwa razy sprawdzić - powiedział gładko Gallegher. - Narcyzie, nalej panu komandorowi.

- Dziękuję, nie.

- Kawy?

- Będę zobowiązany. No więc, jak panu mówiłem kilka tygodni temu, potrzebny jest nam ręczny ster statku kosmicznego, który sprosta wymaganiom co do elastyczności i wytrzymałości na rozciąganie.

Oho, pomyślał Gallegher.

Wali pochylił się naprzód, a oczy mu się rozjaśniły. - Statek kosmiczny z konieczności jest wielki i skomplikowany. Potrzebne są pewne stery ręczne. Nie mogą one jednak znajdować się w linii prostej; budowa statku wymaga, aby linki sterownicze zakręcały pod ostrymi kątami, idąc po pokrętnych, dziwacznych torach od punktu A do punktu B.

- No...

- Powiedzmy - rzekł Wali - że chce pan przekręcić kran w domu o dwie przecznice stąd. I chce pan to zrobić nie wychodząc z laboratorium. Jak?

- Sznurek. Drut. Linka.

- Która mogłaby obchodzić narożniki jak... na przykład... sztywny pręt nie mógłby. Jednakże, panie Gallegher, chciałbym powtórzyć to, co powiedziałem dwa tygodnie temu: ten kran bardzo trudno przekręcić. A trzeba go przekręcać często, setki razy dziennie, kiedy statek jest w kosmosie. Nasze najmocniejsze stalowe linki okazały się niewystarczające. Wygięcie i naciąg powodują ich pękanie. Kiedy linka jest zgięta i kiedy jest prosta, rozumie pan?

Gallegher skinął głową. - Jasne. Każdy drut się przerwie, jeśli go zginać w dwie strony odpowiednio długo.

- Właśnie o rozwiązanie tego problemu prosiliśmy pana. Powiedział pan, że to się da zrobić. Czy udało się panu? I jak?

Ręczny ster, którego linka może zakręcać i może wytrzymać powtarzające się napięcia.

Gallegher spojrział na maszynę. Azot... jakaś myśl błąkała się po zakamarkach jego mózgu, ale nie potrafił jej uchwycić.

Zadzwonił dzwonek. Smeith, pomyślał Gallegher i skinął na Narcyza. Robot zniknął z oczu.

Wrócił z czterema ludźmi deptającymi mu po piętach. Dwaj z nich byli umundurowanymi policjantami. Pozostali zaś, kolejno, byli to Smeith i Dęli Hopper.

Hopper uśmiechał się z okrucieństwem. - Cześć, Gallegher - powiedział. -

Czekaliśmy. Nie zdążyliśmy, kiedy wchodził ten facet - wskazał na komandora - ale wypatrywaliśmy następnej~okazji.

- Panie Gallegher - powiedział Smeith ze zdziwieniem na pulchnej twarzy - o co chodzi? Nacisnąłem dzwonek i wtedy ci trzej mnie otoczyli...

- Nic się nie stało - powiedział Gallegher. - Panu przynajmniej się udało. Niech pan wyjrzy przez okno.

Smeith posłuchał. Następnie znów się odwrócił, rozpromieniony.

- Ta dziura...

- Właśnie. I tej ziemi ja stąd nie wywiozłem. Zaraz zrobię panu pokaz.

- Zrobisz, ale w ciupie - rzekł zjadliwie Hopper. - Ostrzegałem cię, Gallegher, że mnie nie zrobisz w konia. Dałem ci tysiąc na wykonanie mojego zamówienia, a ty ani go nie wykonałeś, ani nie zwróciłeś forsy.

Komandor Wali wytrzeszczył oczy, zupełnie zapomniawszy o filiżance, którą miał na dłoni. Jeden z policjantów zbliżył się i ujął Galleghera pod ramię.

- Jedną chwileczkę - zaczął Wali, ale Smeith był szybszy.

- Myślę, że jestem winien panu Gallegherowi parę kredytek - powiedział wyciągając portfel. - Nie mam przy sobie więcej niż tysiąc w gotówce, ale chyba przyjmie pan czek na resztę. Jeśli ten... pan... chce gotówkę, tysiąc powinien tu być.

Gallegher przełknął ślinę. Smeith kiwnął do niego zachęcająco.

- Moje zamówienie pan'oczywiście wykonał. Nawet jutro mogę zacząć prace ziemne i budowlane. I nie będzie mi potrzebne żadne zezwolenie na wywóz.

Hopper wyszczerzył zęby.

- Mam gdzieś pieniądze! Chcę mu dać nauczkę! Mój czas jest wart wiele, a ten facet przewrócił mi cały program do góry nogami. Zamówienia, naganiacze... Poczyniłem wiele kroków

zakładając, że potrafi zrobić to, za co mu zapłaciłem, a on teraz bezczelnie myśli, że uda mu się wykręcić. No więc, panie Gallegher, nie uda ci się to. Nie przyszedłeś na wezwanie sądu, skutkiem czego jesteś winien naruszenia prawa, i odcierpisz to, do cholery!

Smeith rozejrzał się. - Ale... ja poręczę za pana Galleghera. Pokryję...

- Nie! - warknął Hopper.

- Ten facet mówi nie - mruknął Gallegher. - On dyszy, żądzą mojej krwi. Złośliwy diabełek, co?

- Ty pijany baranie! - krzyknął Hopper. - Panowie policjanci, proszę go zabrać do więzienia. Już!

- Niech się pan nic nie boi, panie Gallegher - podtrzymywał go na duchu Smeith.

- W każdej chwili wyciągnę pana stamtąd. Mam parę wtyczek gdzie trzeba.

- Wtyczka... - wyszeptał Gallegher. - Przewód... Drut... I... i ekran stereo, na który można patrzeć pod każdym kątem. Drut!

- Zabrać go - szorstko rozkazał Hopper.

Gallegher starał się wyrwać z uścisku trzymających go policjantów.

- Zaczekajcie chwilę! Jedną chwileczkę! Mam już rozwiązanie. To musi być rozwiązanie. Hopper, zrobiłem, co pan chciał, i pan też, komandorze. Puśćcie mnie.

Hopper parsknął i pokazał kciukiem drzwi. Zbliżył się Narcyz, stąpając cicho.

- Czy mam im porozbijać łby, szefie? - zapytał łagodnie. - Lubię kolor krwi. To jedna z podstawowych barw.

Komandor Wali odstawił w końcu filiżankę i podniósł się. Jego głos zabrzmiał ostro i metalicznie.

- W porządku, panowie. Proszę puścić pana Galleghera.

- Nie róbcie tego - naciskał Hopper. - A kim pan w ogóle jest? Jakimś tam sobie kapitanem statku kosmicznego!

Ogorzała twarz Walia poszarzała. Wyjął z kieszeni odznakę w skórzanym futerale.

- Jestem komandor Wali - przedstawił się. - Z Komisji Administracyjnej Astronautyki. Ciebie - pokazał na Narcyza - ciebie powołuję na tymczasowego przedstawiciela władzy. Jeśli ci policjanci w ciągu pięciu sekund nie uwolnią pana Galleghera, możesz porozbijać im łby.

Ale było to już niepotrzebne. Komisja Astronautyki to jest coś! Stał za nią rząd, a w porównaniu z nią władze terenowe były drobnymi płótkami. Policjanci pośpiesznie uwolnili Galleghera, starając się sprawiać wrażenie, że nigdy go nie dotykali.

Hopper wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. - Jakim prawem staje pan na drodze prawa, komandorze? - zażądał wyjaśnień.

- Prawem priorytetu. Rządowi potrzebne jest urządzenie, które pan Gallegher wykonał dla nas. Przynajmniej ma prawo do tego, aby go wysłuchano.

- Nie ma!

Wali zmierzył Hoppera lodowatym spojrzeniem.

- Wydaje mi się, że pan Gallegher kilka chwil temu powiedział, że pańskie zamówienie również wykonał.

- I to ma być to? - wielki waźniak wskazał palcem maszynę. - Czy to wygląda na ekran stereoskopowy?

- Daj mi lampę ultrafioletową, Narcyzie - powiedział Gallegher. - Jarzeniówkę. - Podeszedł do urządzenia, modląc się, aby jego przypuszczenie okazało się słuszne.

Ale musiało być. Nie było innej możliwości. Wyekstrahujcie azot z gleby i skały, a otrzymacie materię chemicznie obojętną.

Gallegher przesunął wyłącznik. Maszyna zaczęła śpiewać "Szpital świętego Jakuba". Komandor Wali patrzył ze zdumieniem i jakby mniej życzliwie. Hopper prychnął. Smeith podbiegł do okna i w ekstazie przyglądał się, jak długie macki pożerają ziemię wirując szaleńczo w dziurze widocznej w blasku księżyca.

- Lampa, Narcyzie.

Lampa była już podłączona do przedłużacza. Gallegher przesunął nią powoli wokół maszyny. Wkrótce zbliżył się do krążka z rowkiem w najdalszym od okna końcu maszyny.

Coś zabłyszczało.

Zabłyszczało niebiesko... wydostawało się z owego niewielkiego zaworu w metalowym cylindrze, przewijało się w krążku z rowkiem i spływało zwojami na podłogę. Gallegher dotknął wyłącznika; gdy maszyna zatrzymała się, zawór się zamknął odcinając to niebieskie tajemnicze coś, co wydostawało się z cylindra. Gallegher podniósł zwój. Gdy odsunął światło, zwój zniknął. Konstruktor przybliżył lampę - i "coś" pojawiło się ponownie.

- Proszę bardzo, komandorze - powiedział. - Proszę to wypróbować.

Wali spojrzał z ukosa na poblask. - Wytrzymałość na rozciąganie?

- Bardzo duża - rzekł Gallegher. - Musi być. Nieorganiczny, mineralny składnik ziemi, ściśnięty i sprasowany w drut. Pewnie, że ma ogromną wytrzymałość na rozciąganie. Tylko że tony ciężaru nie da się na nim podnieść.

Wali skinął głową.

- Oczywiście że nie. Przejdzie przez stal jak nitka przez masło. Znakomicie, panie Gallegher. Musimy zrobić próby...

- Możecie robić. Nie obawiam się. Ten drut można prowadzić pod dowolnym kątem, z jednego końca statku na drugi, a on nigdy się nie zerwie pod ciężarem. Jest za cienki. Nie będzie... nie może być nierówno obciążony, bo jest za cienki. Druciana linka tu nie wystarczy. Potrzebna wam była elastyczność, która nie zredukuje wytrzymałości na rozciąganie. Jediną możliwą odpowiedzią był cienki, mocny drut.

Komandor uśmiechnął się. To wystarczyło.

- Przeprowadzimy rutynowe próby - powiedział. - Potrzebuje pan jeszcze pieniędzy? Mogę dać drugą ratę, w granicach rozsądku, powiedzmy do dziesięciu tysięcy.

Hopper przepchnął się do przodu.

- Ja nie zamawiałem drutu, Gallegher. Mojego zamówienia więc nie wykonałeś.

Gallegher nie odpowiedział. Regulował lampę. Drut zmienił barwę z niebieskiej na żółtą, a potem na czerwoną.

- To twój ekran, mądralo - powiedział. - Widzisz te ładne kolorki?

- Pewnie że widzę! Nie jestem ślepy. Ale...

- Różne barwy, w zależności od tego, jaka jest długość fali świetlnej. Masz. Czerwona. Niebieska. Znowu czerwona. Żółta. A gdy wyłączę lampę...

Drut, który Wali wciąż trzymał, stał się niewidzialny. Hopper z trzaskiem zamknął otwarte usta. Pochylił się naprzód przekrzywiając głowę na bok.

- Drut ma ten sam współczynnik załamania światła co powietrze - powiedział Gallegher. - Specjalnie tak zrobiłem. - Miał tyle przyzwoitości, że się zarumienił. Och, w końcu może za to później postawie drinka Gallegherowi Bis.

- Specjalnie?

- Potrzebował pan stereoekranu, który można oglądać ze wszystkich stron bez zniekształceń optycznych. I w kolorze, to się rozumie, w dzisiejszych czasach. No więc oto jest.

Hopper oddychał ciężko. Gallegher obrócił ku niemu rozpromienioną twarz.

- Niech pan weźmie szkielet sześcianu i każdy bok owinie szczelnie tym drutem. Niech pan zrobi ekran z gęstej siatki. Ze wszystkich stron. Niech pan rozciągnie dużo drutu wewnątrz sześcianu. W wyniku tego powstanie niewidzialny sześcian

wykonany z drutu. W porządku-Niech pan puści na to film czy telewizję, byle sygnał był w ultrafiolecie, a otrzyma pan świetliste wzory, w zależności od długości fali. Innymi słowy - otrzyma pan obraz. Barwny obraz. Trójwymiarowy obraz - jest on bowiem wysyłany na niewidzialny sześcian. I ostatecznie jest to obraz, na który można patrzeć pod każdym kątem bez zniekształcenia optycznego, ponieważ nie jest to tylko złudzenie optyczne stereoskopowego widzenia - jest to faktycznie obraz trójwymiarowy. Kapuje pan?

- Tak... rozumiem - powiedział Hopper słabym głosem. - Dlaczego... dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej? Gallagher pośpiesznie zmienił temat.

- Komandorze Wali, potrzebna mi jest ochrona policyjna. Pewien oprych, który nazywa się Max Cuff, próbował chapnąć tę maszynę. Jego bandziory porwały mnie dziś po południu i...

- Przeszkadzanie w wykonywaniu zamówień rządowych, co? - powiedział Wali surowo.

- Znam ja tych małych polityków. Max Cuff nie będzie już panu szkodził... czy mogę skorzystać z wideofonu?

Smeith rozjaśnił się na samą myśl o tym, że Cuff dostanie po u-szach. Gallagher napotkał jego wzrok. W jego oczach pojawił się miły, jowialny błysk, który nie wiadomo dlaczego przypomniał Gallagherowi, aby zaproponować gościom drinka. Tym razem nawet komandor nie odmówił, odwracając się po skończonej rozmowie, aby wziąć szklaneczkę, którą podał mu Narcyz.

- Pańskie laboratorium znajdzie się pod ochroną - powiedział Gallagherowi. - Nie będzie już kłopotów.

Wypił, powstał i uściśnął dłoń konstruktora. - Muszę złożyć raport. Powodzenia i stokrotne dzięki. Zadzwonimy do pana jutro.

Wyszedł, przepuszczając przed sobą obu policjantów.

- Powiniennem pana przeprosić - powiedział Hopper wychylając swojego drinka. - Ale co było, to było, co, stary?

- Niech tam - powiedział Gallagher. - Jest mi pan winien pieniądze.

- Tremch wyśle czek. I... hm... i... - głos uwiązł mu w gardle.

- Co się stało?

- Nic - powiedział Hopper odstawiając szklanekę i przybierając kolor zielony. - Trochę powietrza... ep!

Drzwi zatrzasnęły się za Hopperem. Gallegher i Smeith popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

- Dziwne - powiedział Smeith.

- Może go coś nawiedziło - wyraził przypuszczenie Gallegher. - Niezbadane są wyroki boskie...

- Widzę, że Hopper już zniknął - powiedział Narcyz pojawiając się z następnymi drinkami.

- Owszem. A bo co?

- Wiedziałem, że tak będzie. Nalałem mu czystego spirytusu - wyjaśnił robot. - Ani razu nie spojrzał na mnie. Nie jestem zarozumiały, ale ktoś tak niewrażliwy na piękno zasłużył na nauzkę. A teraz nie zwracajcie mi głowy. Idę do kuchni

poćwiczyć taniec, a wy możecie sobie wziąć drinki z dystrybutora. Jeśli chcecie, możecie przyjść popatrzeć na mnie.

Narcyz wytoczył się z laboratorium wirując wnętrznościami. Gallegher westchnął.

- I tak jest zawsze - powiedział.

- Co?

- Och, nie wiem. Wszystko. Na przykład dostaję zamówienia na trzy zupełnie różne rzeczy, schlam się i robię coś, co rozwiązuje wszystkie trzy problemy. Moja podświadomość robi wszystko łatwą metodą. Niestety, nie jest ona łatwa dla mnie,

kiedy wytrzeźwieję.

- To po co trzeźwieć? - zapytał Smeith trafiając w samo sedno. - Jak działa ten dystrybutor?

Gallegher zademonstrował. - Czuję się okropnie - zwierzył się. - Potrzeba mi albo tygodnia snu, albo...

- Czego?

- Drinka. No to lu. Wie pan co, jedna rzecz jeszcze mnie martwi.

- Co znowu?

- Dlaczego ta maszyna śpiewa "Szpital świętego Jakuba", kiedy jest w ruchu.

- To ładna piosenka - powiedział Smeith.

- Jasne, ale moja podświadomość działa logicznie. Jej logika jest zwariowana, to trzeba przyznać. Ale...

- No to lu - powiedział Smeith.

Gallegher odprężył się. Zaczynał już czuć się dobrze. Po ciele rozeszło się ciepło. W banku były pieniądze. Policja odeszła. Max Cuff bez wątpienia odpokutowywał swoje grzeszki. A ciężki łomot obwieszcział, że Narcyz tańczy w kuchni.

Było już po północy, gdy Gallegher zakrztusił się drinkiem. - Już pamiętam! - wykrzyknął.

- C-co jest? - zapytał zdziwiony Smeith.

- Chce mi się śpiewać.

- No i co?

- Chce mi się śpiewać "Szpital świętego Jakuba".

- No to śpiewaj - zaproponował Smeith.

- Ale nie sam - podkreślił Gallegher. - Zawsze lubię to śpiewać, kiedy jestem na bańce, ale moim zdaniem najlepiej brzmi to w duecie. Tyle że kiedy pracowałem nad tą maszyną, byłem sam.

- I?

- Pewno wbudowałem w nią odtwarzacz - powiedział Gallegher pogrążony w zadumie nad szalonymi pomysłami i osobliwymi wybrykami Galleghera Bis. - O, mój Boże. Maszyna, która robi cztery rzeczy naraz. Żre ziemię, wypuszcza linkę do sterów

statku kosmicznego, wykonuje ekran stereoskopowy bez zniekształceń i śpiewa ze mną w duecie. Jakie to wszystko dziwne. Smeith zastanowił się.

- Jesteś genialny.

- Oczywiście. Hmmm. - Gallegher powstał, włączył maszynę i wrócił, by usadowić się na Bąbelku. Smeith, zafascynowany widokiem, ponownie uwiesił się na parapecie i patrzył, jak śmigające macki pożerają ziemię. Po krążku przewijał się niewidzialny drut. Ciszę nocną zmaciły mniej lub bardziej melodyjne dźwięki "Szpitala świętego Jakuba".

Ponad żalobnym jękiem maszyny unosił się głęboki bas zapytujący żarliwie kogoś nie nazwanego:

...czy jest gdzieś na tym świecie kochanek taki drugi...

Gallegher Bis też śpiewał.